Nr. 9 i 10 We Lwowie, 1 maja 1933 Rok 55



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO
WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Numer niniejszy (9—10) zawiera 24 stron druku. Następny numer „Łowca" ukaże się w ostatnich dniach maja

XXXII ZJAZD ŁOWIECKI M. T. Ł.

odbędzie się w dniu 5 czerwca 1933 r. we Lwowie

Msza Święta przed ołtarzem św. Huberta w kościele św. Elżbiety odprawioną zostanie o godz. 9-tej rano.

Walne Zgromadzenie Członków M. T. Ł. odbędzie się o godzinie 10-tej rano w sali Kasyna Narodowego przy ul. Mickiewicza l. 6. parter.

O godz. 3-ciej popoł. na strzelnicy Wojskowej na Kleparowie odbędzie się strzelanie premjowe do celów ruchomych (dzik, lis) i do rzutków.

Wydział M. T. Ł. zwraca się z gorącym apelem do Członków Towarzystwa, i Delegatów, by w Walnem Zgromadzeniu wzięli udział, przyczem się zauważa, że ze względu na ważność spraw poruszyć się mających, jest moralnym obowiązkiem każdego Delegata na Zgromadzeniu się jawić.

Taki sam obowiązek ciąży oczywiście też na Członkach Towarzystwa, którzy samem swem jawieniem się na Zgromadzeniu przyczynią się do podniesienia powagi i prestiżu Towarzystwa, a najbardziej na towarzystwach myśliwskich w M. T. Ł. zrzeszonych, bo wysłaniem swych przedstawicieli powinne wykazać łączność z Macierzą.

Zwracamy uwagę Członków M. T. Ł. zamieszkałych w Województwie krakowskim, na zamieszczone na stronie 119 niniejszego numeru „Łowca" ogłoszenie o Walnem Zgromadzeniu Oddziału.

W dniach 3, 4 i 5 czerwca b. r. odbędzie się Ogólno-Polska Wystawa psów rasowych przy XIII Targach Wschodnich urządzona staraniem M. T. Ł. Zwracamy się z gorącą prośbą do P. T. naszych Członków, którzy posiadają psy myśliwskie, aby powyższą wystawę swoimi psami obesłali, a specjalnie wyżłami. Na zeszłorocznej, bardzo zresztą udałej wystawie, raził jednak fakt, że Małopolska, stojąca tak wysoko pod względem łowiectwa, wystawiła tylko znikomą ilość wyżłów i wogóle psów myśliwskich, co wywołało zdziwienie osób zpoza Małopolski, zwiedzających wystawę.

Z Wydziału M. T. Ł.

Przy tej sposobności wzywamy ponownie Panów Delegatów, by nam zapodali rychło możliwie dokładne cyfry łań i siut upolowanych w rejonach ich pieczy poruczonych, w czasie od 16 stycznia do 15 lutego 1933 r. na podstawie rozporządzenia Min. Rol. z 9 listopada 1932 r.

WŁADYSŁAW GACKI

Myśliwy i Rybak

(szkice i obrazy obyczajowe)

(Ciąg dalszy)

4. Dawni rybacy.

W literaturze XVI-go wieku znajdujemy pewne ślady ówczesnego „myśliwstwa rybnego". Bezwątpienia stanowiło ono w ogólnej gospodarce ważną dziedzinę. Zatrudniało rzesze rybaków, dostarczało zawsze pożądanego artykułu. Niektóre gatunki ryb były poszukiwane i podawane na stołach pańskich, jako smakołyki. Rybołówstwo, w szczególności wędkarstwo, bywało też zwykłą, dostępną rozrywką.

J. Kochanowski, chwaląc w „Pieśni o Sobótce (panna XII) wieśne wczasy i pożytki", nie pomija rozrywek rybaka:

„W rzece ma gęste więcierze,
„Czasem wędą ryby bierze,
„A rozliczni ptacy wkoło
„Ozywają się wesoło."

I dalej, jakby uzupełniając otoczenie i nastrój wędkarza:

„Stada igrają przy wodzie,
„A sam pasterz, siedząc w chłodzie,
„Gra w piszczałkę proste pieśni,
„A faunowie skaczą leśni".

„Myśliwiec" T. Bielawskiego w „obrocie" myśliwca piętnastym podaje niektóre szczegóły, dotyczące rybołówstwa. Świadczą one o pewnej znajomości warunków bytowania ryb i ich właściwościach.

Oto łosoś „uskoczny, bystrowody" wpadł na rzece w „skrzynię narzędną;"[1]) rybak sieciami przy brzegu jesiotra „uskoczeł".

„Jesiotra równo, gdy go wody ścisną,
„Dostanę, płynie mimo nasz dom Wisłą."
„Połów karpia nie należał do łatwych:
„Karpiów nałowię, znając ich przebiegi,
„I sieć mam po nich, i chłopich nóg śpiegi,
„Boć się on skrycie po wodzie utuli
„A głowę na dno chytrotajny wtuli".

Autor, widocznie dobry praktyk, słusznie twierdzi, że „inak się chwyta ryb rodzaj wszelaki;" n. p. ślizów, węgorzyc, „spaczookich" raków szuka się w jamie lub pod kamieniem.

Stawianie sznurów było rozpowszechnione. Odbywało się w sposób podobny, jak obecnie:

„Albo na sznurach wieczór ciskam wędy,
„A rybkę małą pozawdziewam wszędy,
„Niż się zapali po świtaniu zorza,
„To zbieram z wędy krętego węgorza."

Kręcono zwykle wędki, jak zaznacza autor, z konopi, z włosienia.

[1]) W sadz.

Z szczupakiem, którego nazywa humorystycznie „wielorybem karpiów", trudniejsza rada:

„Na szczukę trzeba na łańcuszku wędy,
„Włosień i konop zębem utnie wszędy;
„Na inne ryby cienki włosień skręcę,
„I tak za gęby wędeczką je dręczę.
„Rybkę na wędę żywiusieńką wścibię,
„To już tam wielkiej ryby nie pochybię.
„Szczuka lub okoń, co przechodzą morze
„Porwą też czasem rybeczkę węgorze."

Niewiele się też zmienił od wieków, zapewne i od tysiącleci, wybór przynęty. Zawsze najbardziej pożądana jętka następnie — dżdownica, mucha:

„Jętką oblókszy wędkę, to płocica,
„Kiełb, okoń porwie, gdy cienka zdzewnica,[1])
„Wzdręka[2]) zaś muchę, powierzchnia ukleja
„Porwie, a w worku jej pewna nadzieja."

Stawiano też wiersze, czyli koszyki, plecione z łozy z odpowiednio urządzonemi otworami:

„Wiersze też podczas z lasek uplótszy kładę,
„I mam już o tem nieomylną radę:
„Acz jedna, płynąc, takie sidło minie,
„Druga wżdy trafi do człeka, nie zginie."

Dbały o przyrost, ostrzega przed bezmyślnem tępieniem:

„Szkoda ten czas ryb, gdy się mnożąc, mroszczą,[3])
„Lepiej, gdy usta te ryby odposzczą ,
„I jaj - ci szkoda na gnieździe popsować,
„Dopuścić lepiej ptaszętom skrzydłować."

Praktyczne wskazówki, dotyczące rybołówstwa, urozmaica autor radami natury kulinarnej, czyniąc to z upodobaniem smakosza. Świadczy o tem rozmaitość „postaci", w jakich podawano rybę, a więc: „jesiotra w rosól natychmiast przyczynię", „certy z okuńmi upiec rumianiuchno", „węgorz do juchy (czyli w sosie), aby był kruchuchno", „ślizyki w imbier wysmażyć, a z octem", „jażdże[4]) na zimno", płotki „karbowane"[5]) i t. p.

Jest charakterystyczne, iż w tej właśnie epoce rozkwitu kultury i rybołówstwa, temat jakby niegodny, lekceważony, znalazł swój wyraz w słowie żywem, plastycznem i dosadnem.

[1]) Dżdżownica.
[2]) Wzdręga.
[3]) Zapładniają się.
[4]) Jazgarze.
[5]) W pewien sposób nacinane, w potrawie.



STANISŁAW BARABASZ

Polowanie na cietrzewie

Polesie, przeciwieństwo krainy górskiej, w której od przeszło trzydziestu lat przebywam, interesowało mnie zawsze, zwłaszcza gdy czytałem opisy tamtejszych łowów, jeżeli nie na grubego zwierza, to na skrzydlatą wodną zwierzynę, oraz cietrzewie i głuszce. Myśl o zwiedzeniu tego raju dla myśliwego uważałem za nieziszczalne marzenie, które odłożyłem do lamusa niepotrzebnych rupieci życiowych. A przecież pod koniec mego żywota danem mi było ujrzeć ten błogosławiony i zarazem jakby zaklęty zakątek świata, który mimowoli przyprowadzał na myśl znaną piosenkę:

Dał za córeczkę szlachcic Hołota,
Grzybów wianuszek, wjunów garnuszek,
I łachę błota.

Co prawda błota tam nie widziałem, grzybów nie zbierałem, wjunów niełapałem ani nie jadłem, bo była wtedy pełna zima. Był to koniec lutego i początek marca. Korzystając z łaskawego zaproszenia WPaństwa Chomętowskich, wybrałem się z panem M. kolegą po pendzlu i lufie, do Parochońska, leżącego gdzieś blisko końca świata, pomiędzy Pińskiem a Łunińcem.

Podróż to była niemała, bo z Zakopanego wynosiła droga 950 kilometrów na miejsce.

Na stacji oczywiście konie, baranica, ciemność, jazda saniami przez pola prawie bez drogi. Dojazd do dworu, uprzejme przywitanie przez gospodarza, (pani bawiła wtedy w Zakopanem), herbata i rozmowa o drodze przebytej, nowinach ze świata, no i co najważniejsze dla nas, dyspozycje na dzień jutrzejszy.

Dowiadujemy się, że wilki pomimo podawania im padliny końskiej nie zalegały, lecz z powodu ruchu w lesie, zbiórki drzewa, rozbiegły się i tylko czasem pojedyńcze sztuki przychodzą w nocy do padliny i wynoszą się. Dzik jest, ale także nie zalega. Pozostają tylko cietrzewie, które wobec zbliżającego się czasu toków, odseparowały się od kur i latają stadami.

Kogutów jest dużo. Rano i przed wieczorem siedzą na brzozach, których pączkami się żywią, i żerują. Przez dzień zaś na ziemi, a podczas silnego mrozu w lesie i krzakach.

Na drugi dzień około godziny 10-tej rano wyjechaliśmy we dwoje sanek poleskich, zaprzężonych w jednego konika, z charakterystyczną „hołoblą", obłąkiem ponad karkiem, utrzymującym dwa dyszle w pewnem oddaleniu od konia. Sanki niskie, wyładowane sianem, wiązane łykiem. Powoził Poleszuk, a zboku przysiadł się gajowy, który kierował podjazdem.

Podjazd cietrzewi, zupełnie mi nieznany sposób polowania na te ptaki, polega na tem, że cietrzewie przyzwyczajone do widoku koni i ludzi na sankach w lesie, nic sobie z nich nie robią i dadzą się na strzał podjechać. Przeciwnie przed podchodzącym człowiekiem zdaleka już ulatują.

A więc jazda. Jedziemy tedy przez wieś, wyjeżdżamy na pola, jak mi się zdawało, bo z pod śniegu wygląda trawa, sitowie, gdzieniegdzie krzak brzeziny, a zdaleka na horyzoncie majaczeje sina smuga lasu. Tu i ówdzie wznosi się stóg siana, przerywając monotonność krajobrazu. Śniegu niezbyt wiele. To pola, to błota zamarznięte, po których w zimie można bezkarnie jeździć.

Cietrzewi jakoś nie widać. Rozglądam się w około, przepatruję pojedyńcze drzewa, niema nic.

„A wot ciecieruki" — woła gajowy.

Gdzie? Niemogę ich dopatrzeć. Aha, siedzą na ziemi pojedyńczo, widzę trzy, pięć, siedem czarnych jak kruki kogutów.

Gajowy pokazuje woźnicy, jak ma podjeżdżać, nie wprost na nie, lecz objechać z boku. Zrywa się jeden, zanim drugi, trzeci i całe stado uleciało. Patrzymy, gdzie zapadły. Niedaleko w rzadkie krzaki. Dołączyły się do nich inne, tak, że stado powiększyło się. Podjeżdżamy znowu z tym samym skutkiem. Jeden kogut dał się podjechać, gdy siadł na brzózce i spadł po strzale.



Piękny ten ptak był już w szacie godowej, z czerwonemi brwiami nad oczami. Z tego stada udało mi się zastrzelić jeszcze trzy koguty, z których jeden został znaleziony później przez gospodarza.

Jeździliśmy godzinami całemi po tych błotach, zamarzniętych, lecz nie spotkaliśmy więcej żadnego stada, dopiero wieczorem wracając do dworu, zboczywszy z drogi do olszyn, napotkaliśmy siedzące na drzewie koguty, które jednak nie dały się podjechać.

Drugiego dnia pojechałem bez gajowego, który był przydzielony memu towarzyszowi p. M. Rano był mróz —19° C. Ptaków ani śladu w polu nie było. Wkońcu zdecydowałem się pojechać do owych olszyn, gdzie wczoraj daremnie podjeżdżałem koguty, i tam zaczęły się zrywać z krzaków pojedyńczych sztuki, do których siedząc na sianie ubrany w kożuch, nie mogłem w lot strzelać. Z powodu silnego mrozu ptaki pochowały się w lesie i krzakach.

Zobaczyłem wreszcie stado około 20 sztuk, siedzące jak wrony na wierzchołku drzewa. Nie oceniwszy dobrze odległości, strzeliłem. Stado uleciało. Zniechęcony kilkogodzinnem bezskutecznem jeżdżeniem, kazałem jechać do domu. Mój towarzysz także nic nie spotkał.

Na trzeci dzień rano wyjechaliśmy do Bogdanówki, części majątku naszych gościnnych gospodarzy, odległej o 18 kilometrów. Po powtórzeniu śniadania i wysłucha-

niu relacji, że wilki się rozbiegły, a dzik nie jest otropiony, wsiedliśmy znowu do sanek, aby podjeżdżać koguty. Tym razem w lesie, co jest o wiele przyjemniej, ptaki siedziały na drzewach, przeważnie na brzozach lub sosnach.

Ja miałem na swych sankach „ochotnika", to znaczy strzelca, kłusownika, jak kto woli. Ciekawa to była postać, mały w skórzanym kożuchu, przepasanym pasem, płóciennych portkach i postołach przywiązanych do nóg rzemieniami, czarno zarośnięty, w bardzo kudłatej czarnej czapie na głowie, która wyglądała jak rozczochrana czupryna, z przebiegłemi oczkami, biegającemi w koło, które lepiej widziały, niż moja lornetka.

Pierwsze stado wnet wypatrzyliśmy i padł pierwszy kogut. Do drugiego strzelałem niezbyt daleko, widziałem że zaznaczył, jednak poleciał. „Ochotnik" niemiał ochoty go szukać. Szukałem sam, w kierunku gdzie poleciał, jednak bezskutecznie.

Pojechaliśmy zatem przez otwarte błoto za stadem do pasma lasu. Coś ciemnego leży na śniegu. To mój cieciecieruk, który uleciał około 200 kroków i spadł. Pokazuje się, że koguty w zimie twarde do strzału. Gdy na tokach strzela się do nich śrutem nr. 6, ze skutkiem, to w zimie polecono nam strzelać nr. 2, i niezawsze padał trup na miejscu. Strzela się do siedzącego ptaka w dzień, zatem chybić trudno, a często ptak poleci, to znaczy, że trafiony i później spada, jak mnie się to dwa razy zdarzyło. Ha, trudno, trzeba i dla lisów coś zostawić.

Strzeliłem potem jeszcze dwa koguty, to jest razem z poprzedniemi osiem sztuk. Mój towarzysz zabił pierwszego dnia jednego, a trzeciego pięć. Razem tedy zabiliśmy czternaście cietrzewi.

Następnego dnia zadymka śnieżna. Wysłani tropiciele wrócili ze sprzecznemi relacjami. Jeden twierdził, że dzik jest, drugi, że go niema, ale widział świeży ślad wilka. Ponieważ nie mieliśmy nic innego do roboty, postanowiliśmy próbować szczęścia z owym dzikiem. Ale nie było go w domu.

Mój ochotnik siedząc na sankach nie bardzo się interesował śladami, które przecinały naszą drogę, gdy go się pytałem co to za trop nawpół zasypany, niechętnie zeszedł ze sanek i wróciwszy powiedział, że to wilk przeszedł. Po chwili zeskoczył raźno, coś oglądnął i przybiegł z rozjaśnioną twarzą wołając: „Gronostalik!" Dowiedziałem się później, jaki był powód jego radości. Jest to jedyny zwierz, którego wolno mu zabić kijem z pomocą psa, bo strzelać do żadnej zwierzyny mu nie wolno.

Wracając do domu spotkaliśmy w drodze cały różaniec, bo około pięćdziesiąt sanek poleskich jadących w nieprzerwanym łańcuchu, co stanowiło ładny i charakterystyczny obrazek dla tej okolicy.

Nazajutrz pożegnaliśmy gościnnego i miłego gospodarza, otrzymawszy uprzejme zaproszenie na kaczki, których tam jest nieprzebrane mnóstwo. Może wtedy będę mógł sprawdzić ową piosenkę o grzybach i wjunach, bo o błocie, to niewątpię wcale.



ADAM STARZEŃSKI

Oryginały

Oryginały! Nie o tym odwiecznym, zazieleniałym bronzie myślę, ani o tej spękanej, zczerniałej desce, którą dziś w rupieciarni wygrzebano, odnowicielowi zaniesiono a mistrz ten ją odczyszcza, obmywa, prześwietla, jutro zaś ogłosi wyrok, od którego zawrze, zakotłuje w świecie uczonych i czyjejś kieszeni. Nie o tych oryginałach myślę lecz o żywych, o towarzyszach myśliwych z którymi niejedną rozkoszną, niezapomnianą chwilę przeżyliśmy na łowach. Po pędzlu, po manierze malarza poznajemy oryginał, oryginała zaś po jego swoistych manierach. Oryginały pojawiają się wszędzie, we wszystkich warstwach. Cóż więc dziwnego, że i na przepięknej niwie łowieckiej wyrastają! Pod bukiem, pod jodłą, w długiem wyczekiwaniu upragnionego zwierza.

To też radowaliśmy się widokiem takiego kochanego towarzysza, stojącego na stanowisku zawsze pod parasolem, którym rzekomo oczy chronił od nadmiernego blasku. Więc też przypatrywaliśmy się pełni respektu takiemu nestorowi w pelerynę ciemno zieloną z aksamitnym kołnierzem spowitemu, który, gdy zwierza dostrzegł, ruchem gwałtownym ją odrzucał i zwykle w miejsce strzału tylko siarczyste zaklęcie uszu naszych dochodziło. Albo też podziwialiśmy, lecz bez chęci naśladowania, takiego wielkiego myśliwego, znakomitego dzików hodowcę, który w towarzystwie niedostępnego psa olbrzyma, biało-żółtego kudłacza, zwierzynę wypatrywał. Kudłacz ten, arcydzieło najszczytniejszej tresury z odległych Niemiec sprowadzony, jak mur stał na stanowisku, również zwierza wypatrując a ukazanie się tegoż witał uprzejmem machaniem puszystego białego ogona, niczem chorągiew poddającej się fortecy. Przemili, nieocenieni byli to towarzysze, sąsiedztwo ich na łowach zawsze było pożądane. Biedacy! Wiecznie narzekali na brak spotkania, na pech oczywisty, zwierz bowiem już, już prawie na strzał będący w ostatniej chwili skręcał na sąsiada.

Ubiór, sposób wyrażania się, przesądy, przyzwyczajenia odmienne, niż ogólnie przyjęte cechują oryginała. Najpierw zwraca uwagę, następnie zaciekawia a wreszcie bawi. A wprost rozkosznym się staje, gdy do tego posiada jeszcze the sense of humour. A toż co takiego? Cóż to za cudzoziemszczyzna? Ach! to dobra rzecz. To szósty zmysł. U Anglosasów się urodził i powoli wnika w inne narody. Rzadko, za rzadko jeszcze spotykany. Zmysł wynajdywania wszędzie we wszystkiem żartobliwości, zmysł wyczucia śmieszności a w następstwie zdolność bawienia siebie i drugich bylejakim drobiazgiem w byle czem wykrytym. Odgrywać zaś w jakiemś zdarze-

ALBERT MNISZEK

Lisowice

(C. d.)

W nowo powstałym zespole myśliwskim na pierwszy plan wysuwa się osoba jego założyciela i prezesa, Kazimierza Wodzickiego.

Znakomity, światowej sławy ornitolog, badacz i znawca przyrody, pasjonowy myśliwy, człowiek niepospolitych zalet serca i umysłu, skromny, łatwy w obejściu wprowadza od początku do Towarzystwa Lisowickiego poważny, przytem jednak miły, sympatyczny nastrój, który pozostaje tam do dnia dzisiejszego. Można powiedzieć, że Wodzicki jest tam do dzisiaj duszą, tak w kniei, jak i w domu Lisowczyków. Wodzicki stworzył drużynę karną, choć wesołą i swobodną. Karność ich weszła prawie w przysłowie. Idąc po myśli swego założyciela, Lisowczycy przejęli się zasadami etyki łowieckiej i niosą wysoko sztandar łowiectwa małopolskiego.

Drugim założycielem Towarzystwa i pierwszym jego wiceprezesem był Wacław Hudec. Wielkie też dla niego położył zasługi. Polując przez szereg lat poprzednich w lisowickich ostępach, znał doskonale knieję i w pierwszych latach istnienia Towarzystwa był prawą ręką łowczego. On też poddał myśl, by prowadzono protokoły z polowań.

W r. 1871 obejmują Lisowczycy po Niemcach wspaniałą, bogatą już wielkiemi tradycjami knieję, lecz niemal pustą, bo z bardzo szczupłym zwierzostanem.

Oto co czytamy w przedmowie pierwszego tomu kronik lisowickich:

„To też gdy w r. 1871 Kazimierz hr. Wodzicki, w spółce z Leopoldem hr. Starzeńskim, Stanisławem hr. Stadnickim, Alfredem hr. Borkowskim i Wacławem Hudetzem polowanie to zadzierżawili, rewiry te przedstawiały przerażający obraz pustkowia i wyniszczenia: dzików było mało, niedźwiedź nieustannem strzelaniem wypłoszony, unikał starannie tej części podgórza — sarny, przez nieutrudzonych strzelaczy na podjazdach wybite, były rzadkością. W tych warunkach wziął Wodzicki to polowanie. Trzeba było tak głębokiego znastwa łowiectwa, takiego ukochania przyrody i umiejętności zgłębiania jej tajemnic, jakie posiadał Wodzicki, aby ufając warunkom topograficznym i klimatycznym kniei, nie dać się odstraszyć niepowodzeniami lat pierwszych, wytrwać na stanowisku i — o ile to wogóle w półdzikich kniejach było możliwem — podnieść stan zwierzyny łownej“.

Pierwszymi towarzyszami są Prezes Wodzicki, wiceprezes Hudec, Leopold hr. Starzeński, Stanisław hr. Stadnicki, Zdzisław i Antoni hr. Dębińscy, Władysław Mniszek,[1]) Alfred hr. Borkowski i Juljusz Jełowicki.

Pierwszy dzień polowania 27 listopada 1871 w „Zamczyskach“. Oto protokół z dnia tego:

Wzięto 7 miotów.

I. miot t. zw. Zamczyska małe, było dzików trzy. Pierwszy wyszedł na p. Cienciewicza, stanął na 10 kroków, p. Cieńciewicz strzelił do niego kulą i ranił, dzika jednak pomimo pogoni, do domu nie przywieziono. P. Zdzisław Dębiński zabił zająca. Drugi pojedynek wyszedł na wiceprezesa Hudetza. Po strzale tegoż, utknął i farbując, uszedł.

II. miot. Strzału nie było. Dzik uderzył na pogonkę.

III. miot. Prezes Wodzicki zabił lisa, rogacz wyszedł na hr. Krasińskiego i uszedł bez strzału. P. Jełowicki i Kowalski spotkali się z lisem, lecz bez skutku. Dwa zające służba zabiła.

IV. miot. Nie było nic.

V. miot. Od gościńca rządowego do „ciemnej“ linii. Były cztery sarny. Prezes Wodzicki zabił lisa, służba dwa zające.

VI. miot. Na drogę Mensdorfa. Prezes zabił rogacza, cztery sarny poszły na Grabniki.

VII. miot od Zamczyska do drogi Mensdorfa. Prezes i p. Nie-

[1]) Ojciec autora.

---

niu rolę nawet główną, lecz mimo to wychwycić tam strony zabawne i uwypuklić je choćby z pewnym uszczerbkiem miłości własnej, toż to the sense of humour doprowadzony do doskonałości, wykwit najwyższej kultury. A wieleż to on drażliwych, beznadziejnych, zdawało się sytuacji, wyratował przemyślnie, w śmiech wszystko obracając.

Szczęśliwy, kogo z nadmiaru miłości własnej wyzwolonego los dobroczynny tą cudzoziemszczyzną obdarzył. Jemu życie wyda się mniej szare a deszcz mniej mokry, towarzysz myśliwy w dzień mniej zachłanny, w nocy mniej chrapiący, łóżko nawet wyda się mniej krótkie. W bridge'u wieczornym ciągłe trzy, cztery asy a także koronka pełna lub łamana mniej często zdają się być u przeciwników. W lustrze fiolet własnego nosa stanie się piękniejszy, przerzadła czupryna wyda się gęściejsza, a gdy rozradowany barwika znów jej dołoży, wyjrzy mu z lustra chłopczyk jak malowanie. Wtedy, nawet choć goły, jest szczęśliwy, jest wesoły, radością życia upojony zaśmiewając się pokpiwa z siebie, pokpiwa z całego świata.

Obdarzonemu tym szóstym zmysłem chybienie jelenia lub dzika, przepiórki nawet wydaje się mniej haniebne. Mniej kąśliwe czyni sobie wymówki, zwykle też odchodzi go ochota rżnięcia sztucerem czy strzelbą o drzewo najbliższe. Dla bliźniego na poczekaniu tuzin słusznych powodów niemożności trafienia zwierza wynajdzie, sam w prawdziwość tychże uwierzy i sobie chybny strzał wybaczywszy, uśmiechnięty już a pełen nadziei znów na krzesełku myśliwskiem zasiada.

Ale wracajmy do oryginałów. Niestety coraz ich mniej. Szkoda. Szkoda. Tło i tempo dzisiejszego życia widocznie nie są stosowne dla ich rozwoju... Zaglądnijmy może trochę w przeszłość nie tak nawet strasznie odległą.

Był i żył na stepie podolskim, gdzieś pod Miodoborami szlachcic. Był to zapalony i doskonały myśliwy, ale osobliwego autoramentu. Po dziadku odziedziczona piękna kapiszonówka srebrzyła się w szafie oszklonej. Błyszczał na niej widoczny zdala gotycki złoty napis: A. V. Lebenda w Praze. Młodzież z zazdrością i podziwem ją oglądała sławą tego napisu olśniona, wszakżeż mawiano: Hde Lebeda tam nebeda. Miała pasek przepiękny, jednak z mniejszym już zachwytem oglądany. Niesłusznie. Wytwór to był domowy, jakiejś praciotki arcydzieło cudnie kanwową robotą haftowane. Widniały tam przez całą jego długość na tle szmaragdowem mijające się w miłym dla oka porządku: zając, lis i kozioł. W owych czasach Lebedówka to był skarb prawdziwy. Lecz ten tu skarb był martwy, nigdy nieużywany. Jedyna bowiem zwierzyna, na którą szlachcic polował, to były lisy, ale szczuł je chartami. Z nastaniem zimy codziennie zaraz z południa rozległe stocza stepu podol-

wiadomski chybili do zająca. St. Stadnicki za znaczną odległość zabił zająca.

Ubito 1 rogacza, 2 lisy i 6 zajęcy. Strzałów padło 17.

Jako sekretarz Wład. Mniszek, w. r.

Rezultat marny i marnemi dość będą rezultaty polowań z całego I. sześciolecia.

Pierwszy swój „Wielki Dzień" święcą jednak Lisowczycy już w drugim roku istnienia. Z ręki Antoniego Mniszka (gościa, brata Władysława) pada na linji Budy stara okazała rysica. Czytamy w protokole (Leopolda hr. Starzeńskiego):

Miot VI. Od Dołhy do linii Budy. Na sekretarza wychodzi ryś, kulą pękającą przestrzelony przez udo, wypada na A. Mniszka, który go śrutem na miejscu położył.

Ryś zabity jest samicą, sędziwej starości, brakuje mu jednego kła z dołu i jednego z góry, centki na całem ciele bardzo wybitne. Jest to zwierz, którym się mało które myślistwo poszczycić zdoła".

Rezultat I. sześciolecia (1871—1877) przedstawia się w następujących cyfrach:

Ryś 1, wilków 7, żbik 1, dzików 33, rogaczy 95, kóz 15, lisów 108, zajęcy 234, orzeł 1, cietrzewi 3, jarząbków 53, słonek 64, puhacz 1, sów 21, jastrzębi 3 — razem sztuk 640.

Pierwszy ten okres Towarzystwa kończy się rezygnacją z prezesury Kazimierza Wodzickiego. Wódz po zorganizowaniu go, po odniesionem zwycięstwie, oddaje buławę w młodsze ręce. — Hetmanem Lisowczyków zostaje obrany Stanisław hr. Stadnicki. Znakomity myśliwy, głęboki znawca sztuki łowieckiej, doskonały administrator, prowadzi swój Zakon po drodze do sławy i wraz z nim wkrótce wspaniałe zdobywa wawrzyny.

W r. 1879 w dniu 28 stycznia w miocie „Żbyrek" pada z jego ręki piękna rysica.

W tymże roku 14 października mogliby byli święcić Lisowczycy znów wielki tryumf myśliwski...

W Zamczyskach niedźwiedź niespodziewanie wychodzi na linię strzelców. Oto co pisze o tem zdarzeniu protokół ówczesnego sekretarza Leopolda hr. Starzeńskiego:

Ostatni miot już o zmroku wzięto od Zamczysk na przerąb środkowy. Zaledwie pogonka ruszyła — niespodziewany gość, niedźwiedź w pełnym pędzie pomyka po przed linią strzelców, wypadł na Łączyńskiego i stanął przed nim na kroków 30. Pada strzał, po którym niedźwiedź usiadł, poskoczył w gąszczak i tam pozostał aż do zbliżenia się pogonki. Później obok stojący sekretarz zabił sowę uralską a niedźwiedź z miejsca nie ruszył. Dopiero pogonka, doszedłszy do niego, niesłychanym hałasem i okrzykami wyruszyła go z gąszczaka. — Niedźwiedź wypada na Borkowskiego, który strzela do niego dwa razy kulami. Zwierz staje za linią, gdzie dwa razy strzela do niego strzelec sekretarza. Po tych strzałach niedźwiedź podniósł się na łapy, co spowodowało strzelca sekretarza wraz z psem legawym, który obok niego siedział, salwować się na wierzchołek drzewa. Niedźwiedź wolnym krokiem poszedł dalej. Z powodu ciemności dziś nie można było przedsiębrać pogoni.

Lisowczycy z bijącem sercem oczekują dnia jutrzejszego.

W r. 1880 dnia 22 stycznia na „Serednem" strzela do rysia prezes Stadnicki. — Zwierz silnie farbuje, mimo zarządzonego energicznego pościgu na rozkład się tego dnia nie dostał. Na drugi dzień znaleziono go już nieżywego w tym samym miocie. — Jest to znów wspaniała, stara, pięknie centkowana rysica.

W r. 1881, 21 października knieja lisowicka znów okazuje swym wybrańcom jeden z swych klejnotów. Niestety pokazuje im go tylko... i zazdrośnie kryje w swym skarbcu.

Na „Dmytrowem" w czasie gęstej mgły ogromny niedźwiedź wypada na linję, między stanowiska starosty Barańskiego i Aleksandra Wodzickiego. Kule ich chy-

---

skiego sankami objeżdżał, pod baranicą dwa charty ukrywając: Kozaka i Szpilkę. Psy oczywiście z biegiem czasu się zmieniały, imiona nigdy. W tygodniu szczuł tylko trzy razy i nigdy więcej niż jednego lisa dziennie, choć z zagranicy z poza bliskiego Zbrucza, jak z matni jakiej, coraz to nowe nachodziły. Mistrzem był w okrążaniu myszkującego lisa a mistrzem też musiałby być lis, aby się wymknąć. Klęcząc na saniah, sprawną ręką kierował końmi, którym od łbów trzy lisie kity się zwieszały, czwarta zaś zewnętrzna naręcznemu koniowi odjęta leżała na saniach obok dzwonków również odpiętych. Dopiero po wzięciu lisa, dzwonki i kitę zpowrotem przypinał Grześ, mleczny brat szlachcica, prawa jego ręka i opiekun chartów, sam zaś szlachcic wesoło pogadując, obdzielał wtedy konie marchwią a charty nóżkami baraniemi. Pięknie wyglądał w bekieszy zielonej, siwym barankiem oblamowanej, w czapicy barankowej siwej o denku również zielonem. Szeroka pierś obwieszona była sznurami zielonemi. Na jednym ciężyła ogromna litrowa manierka, siatką zieloną opleciona a w niej zieleniła się: muchomorka — ulubioną zawartość manierki piołunem zaprawioną, żartobliwie tak nazywał — na drugim wisiała zielona trąbka. Ta miała swoją historję. Jeszcze w konwikcie Pilata w Tarnopolu dostał ją był od kolegi szkolnego z pod Berdyczowa w zamian za charta wilczarza. Lubiał to wspominać. Cenił ją wysoko, tak dla koloru jak też i dla pięknego tonu i wielką rolę wyznaczył jej w swoich łowach. Na niej na zakończenie tychże wygrywał dwie melodje: wesołą, skoczną, radość zwycięzcy i drugą, przeciągłą, poważną, pozgonne zwyciężonemu. Tak bawił się zimę całą.

Wówczas prawie w każdym dworze trzymano charty i liczni charciarze zjeżdżali często, by od starego sztukmistrza wyuczyć się trudnej sztuki podjeżdżania na gołym stepie lisa, zaglądnąć głęboko do jego ogromnej manierki i przytem pożartować trochę ze strachu, jaki w nim kolej wzbudzała. Nielada, bo też nowością dla Podolaków była świeżo ukończona kolej od Stanisławowa ku Husiatynowi. Omawiano ją, chwalono zręczność i wiedzę inżynierów a nadewszystko dziwowano się tunelowi. Szlachcica zaś ta kolej przerażała tylko, jej szybkość wydawała mu się zawrotna a już wprost nie do zniesienia była groza tunelu i tuż zaraz jar przepaścisty a w nim Strypa a nad nim most. Most długi, most wysoki, bez poręczy, na jednym tylko filarze i to cieńkim stojący. Niebezpieczny! Szaleństwo! Rzadko, ale przecież raz czy dwa do roku wypadło mu jechać tą znienawidzoną koleją. Udręka to była wielka, sen odbierająca, myśleć o czyhającem niebezpieczeństwie. Długo się biedził, naradzał z faktorem, wreszcie odetchnął, znalazł sposób. Odkrył, że pociąg w porze obiadowej, godzinę stał w Buczaczu. Dniem więc wpierw szły konie szlachcica na sta-

biają celu, sekretarz dowcipnie i nieco zjadliwie tak wspomina o tem w protokole:

Miot III. Dmytrowe. Strzelcy stali pod wysokim bukowym lasem a goniono gęsty, młody zapust. Mgła gęsta okrywała widnokrąg. Przypominamy sobie z dziejów niezbyt dawnych, iż mgła spowodowała raz klęskę straszną dla Monarchji Austrjackiej, wedle twierdzeń jenerała Benedeka. Dzisiejsza mgła była również fatalną dla lisowickich myśliwych. Owiany więc tą gęstą, fatalną mgłą ogromny niedźwiedź zawojkowaty wypadł między stanowiska starosty Barańskiego i Aleksandra Wodzickiego — i tą mgłą osłonięty, tak szybko przemykał przez podniosłą buczynę, iż puszczone za nim w pogoń dwie kule tych dwóch myśliwych, już go dogonić nie zdołały. Istna Sadowa! Myśliwi — to armia austrjacka a niedźwiedź — to Prusacy. W tym miocie Jul. Starzeński zabił zająca, strzelec Wodzickiego lisa.

W roku 1882, 25 października znów spotkanie z niedźwiedziami — niestety bezskuteczne! Na przerębie Aleksego chybia jednego Emanuel Borkowski, w następnym zaś miocie, Pasiecznej, ten sam znów strzela do jednego a Stanisław Piegłowski do drugiego. Wobec tego, że oba zaryczały po strzałach, zarządzono nazajutrz za niemi pościg, który niestety nie dał rezultatu.

W r. 1883, 22 stycznia chybia do rysia Łączyński na „drodze Artura."

Kończy się drugie sześciolecie Lisowic z rezultatem: Rysiów 2, dzików 51, rogaczy 251, kóz 10, lisów 134, kuna 1, zajęcy 281, cietrzewi 8, jarząbków 26, słonek 44, sów 27, puhacz 1, jastrzębi 7.

Jak widzimy, rezultat w drugiem sześcioleciu przewyższa znacznie rezultat pierwszego. Lisowczycy zdali pierwszy swój egzamin, pokazali, co znaczy opieka nad zwierzyną i knieją i rozumna gospodarka łowiecka.

Rozpoczyna się sześciolecie trzecie. „Złoty wiek" Towarzystwa.

Stadnicki składa prezesurę, Starzeński oddaje pióro sekretarskie w ręce Zygmunta Pietruskiego.

Prezesem swym wybierają Lisowczycy Władysława Bzowskiego, wiceprezesem Stadnickiego, łowczym pozostaje K. Wodzicki.

Już zaraz w trzecim dniu polowania w nowem sześcioleciu, 25 października 1883 w miocie „Świerczyny" pędzonym na przerąb Grabowskiego na Stan. Piegłowskiego wychodzi niedźwiedź. Po jego strzale zamruczał i wyrwawszy z pod siebie kłąb traw i zielska, wrócił na obławę. Mimo zarządzonej pogoni postrzałka nie znaleziono.

Ale już w pięć dni później w miocie od drogi Niniowskiej na drogę Andrunia znowu niedźwiedź okazuje swą postać szczęśliwym św. Huberta wybrańcom!

Oto protokół wielkiego dnia tego:

Niedźwiedź ruszywszy dość późno przed nagonką, posuwał się zwolna w miocie i zwrócił się ku stanowisku Piegłowskiego. Gdy już zbliżył się dość znacznie do niego, stanął zakryty przez pół wielkim dębem. Piegłowski przymierzył do niego. Wodzicki spostrzegłszy ruch sąsiada, przygotowywał się również do strzału — a gdy niedźwiedź w całym pędzie wypadł na drogę, strzelił do niego łowczy i Piegłowski. — Po strzale łowczego niedźwiedź znacząco utknął i pomknął w gąszcz. Niedźwiedź farbując bardzo silnie, przystawał w miocie, jak długo można go było widzieć w gąszczu. W miocie tym Piegłowski zabił jednego jarząbka, do drugiego chybił. Wiceprezes Stadnicki zabił jarząbka, strzelec Starzeńskiego zabił małego rogacza.

Ponieważ, według wszelkiego prawdopodobieństwa, niedźwiedź obległ w bliskości, wzięto

Miot III. od drogi Andrunia na przerąb Słonczy. Myśliwi rozstawili się na linji a łowczy Wodzicki i Piegłowski poszli w tropy z pogonką. W krótkim czasie doszli niedźwiedzia, idąc za farbą — ten zwolna przed nimi uchodził. Łowczy strzelił do niego. Po drugim strzale łowczego zwrócił się ku myśliwym i siadłszy na zadzie, zaryczał. W tej chwili Piegłowski zmierzył do niego, lecz broń nie

---

cję poprzedzającą most i tunel, przesiadał się na nie i ominąwszy te okropności a dołapawszy pociąg w Buczaczu już znacznie spokojniejszy jechał dalej. Drogę powrotną w ten sam sposób odbywał a uradowany tym wynalazkiem, usilnie go wszystkim doradzał.

Nic tak znowu dziwnego, że aż do tego stopnia bał się kolei. Całe swe długie życie do Stanisławowa, do Kołomyji, ba do Lwowa nawet przez Brzeżany jeździł dyliżansem czyli szybkowozem, jak niektórzy go nazywali. Pośpiech wówczas nie istniał, na brak czasu nikt się nie żalił, więc te dalekie, powolne a bezpieczne jazdy lubiał szlachcic bardzo. Najczęściej obok pocztyljona miejsce zajmywał i dla skrócenia drogi na jego trąbce różne ucieszne melodje wygrywał. To też gdy po otwarciu kolei dyliżansy znikły, zasmucony, stęskniony, na pamiątkę zakupił na licytacji w Czortkowie ostatnią czarno-żółtą pocztową karetę o olbrzymich żółtych kołach. W niedzielę i uroczyste święta zaprzęgano do niej w poręcz czwórkę kasztanów i taką paradą jechał do kościoła parafjalnego, już nie z trąbką ale z różańcem, głośno go odmawiając. Uroczysty, poważny, skupiony. Raz umieścił w niej ulubiony obrazek z jeleniem i klęczącym św. Hubertem, potem dodał jeszcze jeden a potem jeszcze jeden i wnet wnętrze dawnej pocztowej karety obwieszone było nielicznemi obrazkami przeróżnych świętych. Odtąd klęcząc, odbywał szlachcic drogę do kościoła. Spodobało się to bardzo i zdala już, na widok sunącego majestatycznie po stepie olbrzyma o żółtych kołach, chłopi się żegnali a baby nawet klękały z wielkiej pobożności.

Wolno, jednostajnie upływały beztroskie, błogie lata. Jakoś późną jesienią ostatni raz zawieziono szlachcica w tej karocy do kościoła, ale już w trumnie dębowej z różańcem w martwych rękach. A gdy nad otwartym grobem proboszcz przyjaciel rzewną przemową go pożegnał odezwała się po raz ostatni zielona trąbka. Grześ to był, który, stojąc na boku z Kozakiem i Szpilką, swoje wygrał pożegnanie. Potem wśród głębokiej ciszy, przerywanej jedynie nieśmiałym łopotem chorągwi poruszanych łagodnym powiewem wiatru, przecisnął się do grobu i na wierzchu jasnej dębowej trumny złożył ostrożnie trąbkę — a szybko wyrosłą mogiłę przykryto darnią zieloną. Na wnet opustoszałym cmentarzu, gdy już tylko sam pozostał, zadumany machnął ręką, usiadł ciężko na świeżuchnej Pana mogile, smutno pogadując, obdzielił charty nóżkami baraniemi... nagle pochylił głowę prawie aż do kolan i płakał i płakał.

Z wiosną zaś wśród rozśpiewanych skowronków po stoczystym podolskim łanie na olbrzymich żółtych kołach toczył się wolno odwieczny szerokorzutny siewnik...

---

wypaliła. Niedźwiedź, nie ufając, zdaje się, siłom swoim, przez strzały nadwątlonym a mając nadto zad strzaskany pierwszą kulą łowczego, odwrócił się i zaczął z wściekłością rwać ziemię i korzenie z pod siebie, poszem poszedł dalej w kierunku od ścigających go myśliwych. Piegłowski podbiegł i strzeliwszy w komorę — dobił! — Wtenczas zagrała trąbka i Lisowczycy odetchnęli wolną piersią. Niedźwiedź leżał nieżywy. Łowczy z rozpromienionem obliczem stał nad nim.

Na zimowem polowaniu w dniu 30 stycznia 1884 w Starej „Jedlinie" chybia do rysia wiceprezes Stadnicki.

Tego dnia opuszczając Lisowice, żegna się z towarzyszami Kazimierz Wodzicki. Oto słowa Jego pożegnalne, tak dobrze charakteryzujące jego myśliwską duszę i ukochanie łowiecwa:

W chwili rozłączenia, myśl wdzięczna goni za towarzyszami, uwzględniającymi gniotący szereg lat i pęta nałożone dolegliwościami towarzyszącemi wiekowi weterana Waszego! — Niech Was gromadzi św. Hubert pod jeden sztandar z godłem koleżeńskiej życzliwości, tego uczucia, które łączy a nie rozdwaja — dodaje sił i wytrwałości a nie zniechęca i osłabia. Niech panuje zgoda przy rygorze, posłuszeństwo przepisom w imieniu pożytku i porządku, niech Lisowczycy i nadal przedstawiają myślistwo polskie, nieocienione wybrykami, tak często towarzyszącymi tej szlachetnej zabawie. — Jak długo weteran używać będzie mógł tej rozkosznej rozrywki, to spoczywa w wyższej tajemnicy, lecz dziś, jak i w przyszłości, tulę się do Waszej pamięci myśliwskiej, prosząc serdecznie o życzliwość i o dalsze pobłażanie, w przekonaniu, żeście pojęli moje stanowisko, poświęcone dla Was; nie o mnie chodziło w lasach lisowickich, lecz o Was i najpiękniejsze me dni zapisane w pamięci były te, w których przyczyniłem się do Waszej przyjemności.

Szczęść Boże w szlachetnym zawodzie, szczęść Boże w zgodnem gronie, otoczonem szczerą życzliwością.

Lisowice, 1 lutego 1884. K. Wodzicki.

W dniu 31 października tegoż roku na „Serednem" w miocie III. pada n i e d ź w i e d ź od kul dozorcy lasowego i strzelca Stadnickiego.

Dzień 3 lutego 1885 daje znów piękny triumf myśliwski w „Serednem". Pietruski ubija wspaniałego rysia, samca, chybionego przedtem przez Łączyńskiego.

W tymże roku w dniu 17 lutego umiera jeden z założycieli Towarzystwa, Wacław Hudetz. Sekretarz Pietruski poświęca Zmarłemu serdeczne, pięknym napisane wierszem, wspomnienie.



JANUSZ DOMANIEWSKI

W odpowiedzi hr. Henrykowi Tyszkiewiczowi

Z wielkiem zainteresowaniem i prawdziwą przyjemnością przeczytałem artykuł hr. H. Tyszkiewicza, który ukazał się w Nr. 21 „Łowca" za rok ubiegły. W artykule tym autor występuje wprawdzie przeciwko poglądom przezemnie wyrażonym, czyni to jednak w sposób tak rzeczowy i kulturalny, że dyskusja przezeń podjęta napewno nie zejdzie na manowce, a przyczynić się tylko może do oświetlenia zagadnienia stosunku myśliwych do zwierząt drapieżnych, zagadnienia, które dzisiaj w łowiectwie uważam za jedno z najbardziej aktualnych.

Hr. Henryk Tyszkiewicz, zabierając głos w sprawie powyższej, deklaruje się jako zwolennik rewizji dotychczasowych poglądów, które kazały myśliwemu tępić każdego ptaka i ssaka, żywiącego się mięsem innych ptaków i ssaków. Z czworonogów niema takiego, pisze hr. Tyszkiewicz, któryby zasługiwał na konieczność tępienia, ani lis, ani wilk, ani nawet kuna domowa nie powinna być tępiona, t. j. nie powinno się dążyć do zniszczenia ich całkowicie na naszych ziemiach." Słowa te każdy myśliwy, kochający przyrodę, przeczyta z żywą radością.

Niestety hr. Tyszkiewicz inaczej zapatruje się na ptaki. Zaznaczywszy przedewszystkiem, że „szkodliwym drapieżnikiem jest zwierzę lub ptak, które żywi się wyłącznie, lub prawie wyłącznie ptakami lub ssakami pożytecznemi dla rolnika czy myśliwego" do szkodników takich zalicza: gołębiarza, krogulca, srokę i wronę.

A zatem hr. Tyszkiewicz uważa, że takie gatunki drapieżników, które żywią się wyłącznie zwierzętami pożytecznemi dla myśliwego czy rolnika, nie powinny być cierpiane w łowiskach. Jest to stanowisko z punktu widzenia hodowcy zwierzyny zupełnie racjonalne. Podzielam je, jakokolwiek miałbym pewne zastrzeżenia, o których nie będę pisał, bo nie mają zresztą praktycznego znaczenia.

Zachodzi jednak pytanie czy istotnie wymienione powyżej cztery gatunki ptaków „żywią się wyłącznie lub prawie wyłącznie ptakami lub ssakami pożytecznemi dla rolnika czy myśliwego". Otóż moim zdaniem nie. Przyjżyjmy się bliżej pożywieniu tych czterech gatunków. O ile chodzi o gołębiarza i krogulca, to pisałem o nich jeszcze w roku 1926 (patrz „Łowiec Polski" 1926, Nr. 8, str. 120—122). Streściłem mianowicie wówczas ciekawe rezultaty badań jednego z niemieckich myśliwych Haenela.

„Otóż Haenel prawie przez 30 lat badał zawartość przewodów pokarmowych ptaków drapieżnych i zbadał w ten sposób kilka tysięcy osobników. Materjał zaiste imponujący, zdolny chyba przekonać każdego!

Zacznijmy od krogulca. Otóż pożywienie jego składa się tylko w 5% ze zwierzyny łownej, w 91% z ptaków niełownych, w 1% z owadów i w 2% z myszy. Widzimy więc, że w łowiectwie krogulec wyrządza poprostu minimalne szkody. Zjada on wprawdzie ogromną ilość drobnych ptaszków, ale to wszak łowiectwa bezpośrednio nie dotyczy. Za to tępienie pożytecznych ptaszków

owadożernych możnaby wprawdzie krogulcom wypowiedzieć wojnę i wojnę taką rzeczywiście prowadzą przeciwko niemu ci, którzy koniecznie w jakiś sposób chcą poprawiać przyrodę. Mam jednak wrażenie, że i w tym razie lepiej jest równowagi istniejącej w przyrodzie nie naruszać. Możemy to śmiało uczynić bez uszczerbku dla naszego dobra. Nie może być wszak mowy o tem, by krogulce mogły gdziekolwiek tak wytępić drobne ptaki śpiewające, żeby to aż zagrażało rolnictwu lub leśnictwu.

Przechodzimy do jastrzębia gołębiarza. Tutaj napewno niejeden rutynowany myśliwy zdziwi się, że pożywienie tego osławionego rozbójnika składa się zaledwie w 40% ze zwierzyny łownej. Na pozostałe 60% idzie: 35% różnych ptaków (przeważnie wron, sójek i srok), 5% myszy i 20% różnych innych ssaków (przeważnie wiewiórek i chomików). Na podstawie tej statystyki jastrzębia gołębiarza musimy uznać za ptaka szkodliwego dla łowiectwa. Nie myślę go też tutaj specjalnie bronić. Weźmy jednak pod uwagę, że w tych 40% zwierzyny łownej stosunkowo bardzo dużo jest sztuk rannych na polowaniach, chorych lub wogóle słabych i z tego względu w rewirze niepożądanych. Wygląda to napozór paradoksalnie, faktem jest jednak, że przez niszczenie takich sztuk gołębiarz wyrządza pewne przysługi łowiectwu."

Przechodzę do wrony i sroki. Tu powołam się na autorytet znakomitego naszego myśliwego i ornitologa Władysława Taczanowskiego. Pisze on o wronie: „Na padlinę są tak chciwe, jak kruki, w każdej porze roku zlatują się z różnych stron i razem ją z psami, krukami, srokami, a niekiedy i orłami, pożywają. Zająca zdrowego rzadko kiedy napastują, lecz postrzelonego natychmiast dobijają. Lubią bardzo zdechłe ryby, skójki i wodne robactwo, które po brzegach wód zbierają; w czasie zaś puszczania rzek siadają na krach płynących, gdzie im woda wyrzuca różne przedmioty. Chodząc za pługami, głównie wybierają wyorane pędraki, lecz i myszom nie przepuszczają. Na robactwo ziemne robią na pola wyprawy razem z gawronami i kawkami, lecz nie trzymają się stale ich stad i nieregularnie się między nie zlatują i oddalają. W ciągu zimy w braku lepszego pokarmu biorą się do zboża, zbierając je po gumnach, drogach i ze stert wydzierając; w biedzie jedzą pomiot koński dla niestrawionego w niem ziarna, a nawet i ludzkim odchodem nie pogardzają. Chciwe są na jaja ptasie i pisklęta, znają je też doskonale czajki, kulony i inne błotne ptaki, którym najwięcej szkód wyrządzają. Skoro która nad błotem lęgowem przelatuje, tak ją one zaraz zapalczywie gonią i napastują, że nie dają jej patrzyć na ziemię i tym sposobem potomstwo głównie ratują."

O sroce zaś: „Tak samo, jak wrona, jada różnorodne przedmioty, szczególniej chciwa na padlinę i wszelkie resztki ludzkiej żywności, rozmaite robactwo, rybki, gady, mięczaki, jaja, młode ptaki, a nawet i stare, gdy je dognać i pokonać potrafi; ziarna zdrowego wcale nie tyka, lecz chciwa jest w porze letniej na rozmaite owoce i jagody, a mianowicie: poziomki, truskawki, maliny, wiśnie, trześnie, śliwki i gruszki, w porze zimowej na jarzębinę, kalinę i t. p., prócz tego jada różnorodne okrawki z kuchni wyrzucane tak zwierzęce jako i roślinne, to jest gotowane kartofle, kapustę, jarzyny, chleb i t. p.".

Jak z powyższego widać, wrona, sroka, gołębiarz i krogulec nie są to ptaki, które w myśl określenia hr. Tyszkiewicza można zaliczyć do bezwzględnie szkodliwych. Niewątpliwie każdy z nich przyczynia się do tego, że pewien procent zwierzyny nie trafia do naszych spiżarni. Procent ten jest jednak zbyt wysoko szacowany, o ile zaś chodzi o wrony i sroki, to niewątpliwie jeśli weźmiemy pod uwagę całość produkcji rolnej (nie można wszak traktować osobno interesów łowiectwa, a osobno interesów rolnictwa) to są to ptaki przynoszące znacznie więcej pożytku niż szkody.

Niema więc powodu uciekać się aż do „tępienia". Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że myśliwy hodowca strzela gołębiarze, że poluje na nie zawzięcie. Nie powinien jednak posuwać się do tego stopnia, by tępić je w okresie rozmnażania. Rezultaty tępienia są zresztą problematyczne i efekt dają niewielki, gdyż na miejsce zabitych osobników zaraz zjawiają się inne z okolic gęściej „zaludnionych".

Wiadomą jest rzeczą, że każdy gołębiarz panuje na pewnym ściśle określonym obszarze, na który nie dopuszcza innych osobników swego gatunku. Z chwilą gdy ginie, jego miejsce zajmuje niezwłocznie inny. To jest właśnie powodem, że na stosunkowo niewielkim obszarze, jeśli usilnie tępimy gołębiarze, możemy ich zabić w ciągu jesieni i zimy kilkanaście sztuk. Nie znaczy to jednak, jak się to zwykle przyjmuje, że te kilkanaście sztuk gołębiarzy jednocześnie zamieszkiwało dany obszar. Nie. Poprostu następuje zmiana przedstawicieli dynastji w myśl zasady „le roi est mort, vive le roi".

Czyż nie jest godnym głębszego rozważenia fakt, że w łowiskach, w których gołębiarze tępi się usilnie od dziesiątków lat, ilość ich nie zmniejsza się! Ostatecznie tak czy inaczej, pewien procent zwierzyny pada zawsze ofiarą drapieżników.

Krótko mówiąc, tępienie zwierząt drapieżnych bynajmniej nie ma tak znacznego wpływu na zwierzostany, jak się to powszechnie sądzi. A oto dowód, który zaczerpnę z niedalekiej przeszłości bo z czasów ostatniej wojny. Od roku 1915 do 1921 mieszkałem w Warszawie. Polowałem wówczas dość dużo w środkowej Polsce i miałem sposobność obserwować zwierzostany w różnych okolicach t. zw. Królestwa. Pamiętamy dobrze, że o naboje wówczas było trudno i nie było mowy o tem, by marnować je na tępienie drapieżników. A jednak począwszy od r. 1915 zwierzostany zaczęły się poprawiać w imponującem tempie i w przeciągu trzech lat osiągnęły nadzwyczajny rozwój. Podkreślam, że drapieżników nie tępiono i strzałowego prawie nigdzie nie wypłacono.

Czemuż przypisać ówczesną poprawę zwierzostanów? Otóż przedewszystkiem temu, że Niemcy zlikwidowali kłusownictwo, po drugie temu, że zlikwidowali psy. Kłusownik, pies i kot — oto najwięksi szkodnicy naszych zwierzostanów.

Powszechnie słyszy się: p. X. ma dlatego tak znakomity zwierzostan, że tępi usilnie drapieżniki. Moim zaś zdaniem p. X. ma nie dlatego zwierzynę, że zabija w swych łowiskach 200 myszołowów, 200 pustułek, 50 błotniaków i 30 gołębiarzy, a dlatego, że straż jego tępiąc drapieżniki, tępi jednocześnie psy i koty, nie mówiąc już o tem, że pilnuje zwierzyny od kłusowników. Gdy-

by tej straży zabronić strzelania myszołowów i pustułek, a cały jej wysiłek skierować na tępienie psów i kotów, rezultaty byłyby jeszcze lepsze.

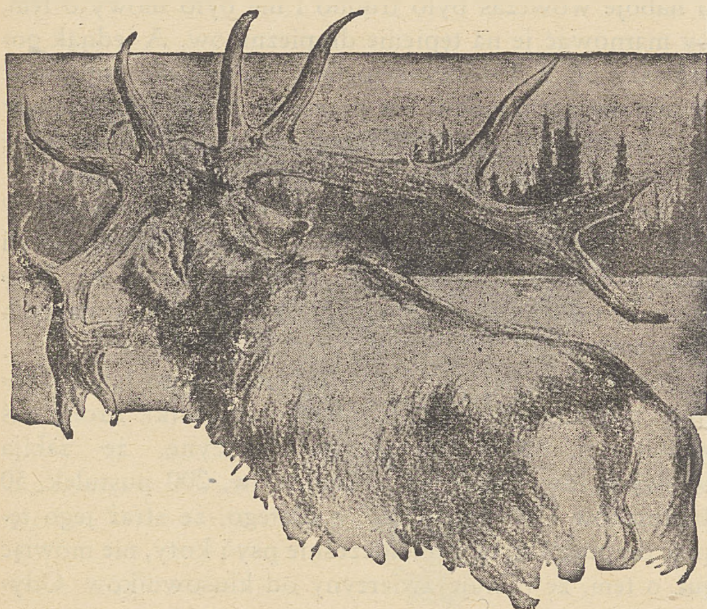
Hr. Tyszkiewicz pisze: „Jeśli się traktuje łowiectwo jako część gospodarstwa narodowego, jako interes dochodowy, tępienie drapieżników jest koniecznością".

Otóż właśnie wprost przeciwnie. Nawet jeśli przyjmiemy, że zwierzęta drapieżne zjadają pewną ilość specjalnie hodowanej zwierzyny, to w imię powiększenia stanu tej zwierzyny do możliwie maksymalnej ilości, nie powinniśmy drapieżników „tępić". Produkcja kuropatw, bażantów i zajęcy z punktu widzenia gospodarstwa państwowego jest rzeczą bardzo ważną, nie na tyle jednak ważną, by negliżować dla niej inne gałęzie tegoż gospodarstwa, jak np. produkcję żyta i pszenicy. A tępiąc zwierzęta i ptaki drapieżne, niszczymy naturalnych opiekunów tej produkcji. Zabijamy największych nieprzyjaciół drobnych gryzoni, które są tak groźnemi szkodnikami zbóż.

Łowiectwo nie może być traktowane (czas już na to najwyższy) jako jakąś odrębną gałąź gospodarki państwowej. Wiąże się ono ściśle z innemi gałęziami gospodarstwa rolnego i wraz z niemi musi być traktowane jako jedna całość, w której równowaga pod żadnym pozorem nie powinna być naruszona.

W zakończeniu artykułu hr. Tyszkiewicza czytam następujące zdanie: „Jeśli się poluje i zajmuje hodowlą zwierzyny tylko dla przyjemności, lub po dyletancku, wówczas można sobie pozwolić, by na polowaniu padało 15 zajęcy i 32 lisy, jak to się zdarzyło zeszłego roku u nas na Kresach".

Sądzę, że zdanie to wynikło z jakiegoś nieporozumienia. Nie widzę żadnego dyletantyzmu w tem, że na pewnym obszarze zabija się dwa razy tyle lisów co zajęcy. Nie wiem o jakim obszarze mowa. Znam jednak nasze Kresy wschodnie i twierdzę, że w wielu łowiskach tak właśnie być powinno. Są takie łowiska, w których właśnie hodowla lisów ma rację bytu, a nie hodowla zajęcy. W olbrzymiej większości łowisk Polesia np. forsowna hodowla zajęcy zasługiwałaby niewątpliwie na nazwę dyletantyzmu.



JAROSŁAW HUBÁLEK

„SZAREK"

autoryzowany przekład z czeskiego Władysława Karnkowskiego

(Ciąg dalszy)

Indziej zasię, w zagłębieniach, podskórna woda zniszczyła drzewostan, na naturalnem pognoju butwiejących korzeni porosły metrowe mietlice, cicho szeleszcząc przy najlżejszym podmuchu wiatru. W takiej to kępce wygrzebał sobie Szarek kotlinkę. Mniejsza z tem, że częstym gościem bywał tu lis-kaleka, o trzech nogach, (czwarta została w zeszłym roku we wilczych żelazach). Na straży stała mietlica, szumiąca ostrzegawczo. Spokojnie się tu spało, śniąc o wiośnie. Ocknął się, zbudzony dalekiem szczekaniem psa. Głos znajomy. To foksterier leśniczego. Szarka wprawdzie nigdy nie pogonił, nie puszczał się ani za sarną i jeleniem, zato lis i dzik stanowiły jego pasję. Zając jednak nie może być zbyt łatwowierny — świat pełen jest zła i obłudy. Nie czekał dłużej, wyskoczył z kotlinki i gnał w górę ku lasom. I znów natknął się na myśliwego. Skurczył się biedak ze strachu, czekając, rychło wybije jego godzina, ale nie! Przeszedł spokojnie i cało przez linję, natomiast o sto kroków niżej, gdzie przekradał się lis, prowadzony przez foksa. padł strzał. Szarek był już pod wierzchołkiem góry, mógł więc puścić wodze ciekawości, i ujrzał cały dramat lisi — psa trzymającego go za gardło leżącego na śniegu kalekę. I znów przekonał się naocznie, że człowiekowi nic na nim samym zależy, że właściwie wtedy dzik, a dziś lis go ocaliły. Że każde zło skrywa w sobie część dobra, i odwrotnie, że niekiedy dwa te pierwiastki tak są z sobą splątane, że nie wiesz, który przeważa. Zdawałoby się, że lis w tymsamym rewirze mieszkający, jest dla zająca stałym mieczem Damoklesa — a tymczasem w miocie bywa dlań stale piorunochronem. Bo ktoby tam strzelał do marnego szaraka, gdy w miocie pies prowadzi głosem lisa, lub coś jeszcze lepszego?

Pomimo to Szarak do mietlicy już nie powrócił. Niecierpiał farby, choćby z jego wroga wytoczonej — doznawał mdłości. — — Las duży, może jeszcze lepsze zacisze znajdzie, niż w mietlicy...

V.

Głęboka puszcza ma w sobie coś cmentarnego, zwłaszcza liściasta — zimą obnażona z szaty. Idziesz powoli ścieżką, niewiadomo, jak powstałą, przez kogo używaną. Zupełny brak śladów mówi ci, że przez nikogo. Bieleje przed tobą taki pasek śniegowy, lamowany z obu stron gęstem poszyciem. Co chwila przełazisz przez obalone wiekiem zwłoki olbrzyma, usiane grzybami. Żywił je buk na swem ciele, a choć zielenił się jeszcze, poznałeś po nich, że starzec chory śmiertelnie. I dziś je żywi — choć jest już trupem zbutwiałym. Lecz i na nie kres przyjdzie. Różne szkodniki drzewne zwłaszcza korniki w mig się przewiercą, kiedy ogromny, pięciokilowy grzyb zacznie dogorywać, nie znajdując na ciele nieboszczyka potrzebnych mu soków odżywczych. Przewiercą go, stoczą, rozniosą pracowici owadkowie — tak, jak on sam stoczyl i powalił olbrzyma.

Ciężko ci brnąć głębokim śniegiem. Nigdzie śladu życia...

Stój! Patrz tam! Z korony drzewa dochodzi wesoły świergot! To stadko sikorek rewiduje niezmordowanie, dzień cały najmniejszą szparę, najdrobniejszą skazę pnia. Popielate, milutkie akrobatki, z czarnemi czapeczkami! Oczka świecą figlarnie. Nie widzą się nawet, zajęte rewizją. Żołądek, jak dziurawa kieszeń, wiecznie pusty. A praca to nie lada, napełnić go przez krótki dzień zimowy i to tylko poczwarkami i jajeczkami.

Brawo! Nareszcie jest trop, i to jaki! Szedł tędy ryś. Znać, że ostrożnie kładł w śnieg wielkie, okrągłe, kocie łapy. Trop stary — trzydniowy. Stoisz chwilę, by obetrzeć spocone czoło. Las milczy, jak zaklęty, i tylko hen, w dole, wściekły Szypot, nigdy nie zamarzający, z hukiem rozbija swe fale o zielone od mchów głazy. — Idziemy dalej. Wdrapaliśmy się na szczyt — schodzimy na drugą stronę. Huk Szypotu słabnie, za to szumi przed nami nowy potok, brat Szypotu — Wojwodzina. Kilkoma wodospadami toczy się w dół, gdzie zlawszy się z Szypotem mkną razem w doliny — między żyzne pola i ludzkie osiedla.

Mostu nigdzie niema — bo i dla kogo? Leśnik nie zna zawrotu głowy i śmiało przejdzie po obalonem przez potok drzewie — a nikomu innemu most nie potrzebny. Zwierz przejdzie i po kłodzie. Na tej tu, znać nawet ślady. Szkodnik idzie odważnie, zając w wesołych podskokach, racica tylko ostrożnie i wolno z obawy poślizgnięcia się. Nad podziw tę właśnie okolicę upodobał sobie Szarek. Twierdzę, że zając trzyma się okrasów leśnych, że nawet niektóry wprost boi się lasu. Możliwe! Nasz bohater jednak w lesie się narodził, pól dobrze nie poznał, a jeśli co z nich wyniósł, to same przykre wrażenia. — W puszczy zagrażał mu ryś, wilk, lis i puhacz. W dolinie zastępuje rysia człowiek ze strzelbą, nieprzyjaciel najgorszy pod słońcem. Prócz niego psy, koty i jastrzębie. W dolinie co chwila nowy przestrach i przebudzenie — w puszczy spokój i cisza. I rzeczywiście — dość długo zażywał spokoju nasz Szarek. Rysiowi zeszedł z drogi, lisy ściągały się bliżej pól, wilki chodziły za sarnami, brnącemi po brzuchy w kopnym śniegu, a o małego zająca nie stał żaden rabuś.

Zima miała się ku końcowi, w dolinach nawet bez walki się poddała, i nocami, nieśmiało, ukradkiem ścinała mrozem bagienka i kałuże na drogach. Nie pomagały i te psoty. Wiosna opanowała już niepodzielnie południowe i wschodnie stoki i zmyła z nich śnieg. Każda strużka była pełna wody i biegły wszystkie, wzdęte i junackie, w dół do Szypota, jak dzieci do ojca. Jelenie i sarny odetchnęły. — Pierwsze cofały się do swych letnich ostoi, roniąc po drodze wieńce — za nimi szły widłaki i słabsze rogacze w towarzystwie sarn i zeszłorocznych sarniąt. I czarna zwierzyna się radowała — ryjąc miękką, rozmarzłą grudę. Posmutniały natomiast wilki. Dobry kąsek był co raz rzadszy, wypadało często poprzestać na padlinie zwierza lub bydlęcia, nie bacząc na niebezpieczeństwo ludzkiej zdrady.

Wąską pierzyną nad Szypotem kłusują właśnie dwa burki. Większy, silny wilk przodem — tuż za nim drugi, mniejszy. Kosmyki zimowych kudłów wiszą na kożuchach, boki wpadnięte, ogony zwieszone apatycznie. Z mordy, psią modą, wisi blado różowy ozór, z pod górnej wargi sterczą białe, łakome kliska. Przystają co chwila, przodownik wietrzy i nasłuchuje, i znów kłusują dalej. Ani jednego tropu — pustka! Chyba zamieni rewir? Sprobujem szczęścia jutro w dolinie — może już kozy wyganiają w las...

Na stoku coś się poruszyło. Wilki nastawiły uszy. Między drzewami mignęło białe piórko Szarka. Mniejszy z miejsca puścił się za zającem. Większy rozejrzał się uważnie po okolicy i zniknął, jak cień w rozpadlinie gruntu.

Szarek wiedział, kogo ma na karku — choć strachu nie czuł. Był mocny i wypoczęty, znał teren, ufał skokom. Jakoś dotąd nikt mu nie sprostał w biegu. — Lecz przeliczył się biedak... Gonił go zwierz młody, ścigły i wytrwały, a nadewszystko głodny i przemyślny. Szarek minął wierzchołek góry i spuszczał się po stronie przeciwnej. Co chwila nasłuchiwał, i biegł dalej. Przeskoczył ścieżkę — sądząc, że wilk się zawaha ją przejść. Zawiódł się. „Więc to wyścig? No dobrze! sprobujmy się!" I sunął długiemi skokami, miarowo, a energicznie. Dopiero po dwóch kilometrach stanął i słucha. Wilk niedaleko. Zatoczył w górę półkole, wilk przeciął mu po cięciwie. Zakluczył gęstym podrostem — i to napróżno. Sytuacja stawała się krytyczną, siły Szarka się wyczerpywały, tężały ścięgna, dech zamierał w piersi, z ledwością brał przeszkody, a śmierć była tuż — tuż...

Niema rady! trzeba obrać równiejszą drogę, tę, wozową wzdłuż potoka. Wilkowi w to graj. Szarek gnał ostatkiem sił. Przesadził z wysiłkiem rozlany potoczek, gdy nagle, pociemniało mu w oczach. Instynktownie zakluczył nad samym brzegiem. W tymsamym momencie klapła morda drugiego wilka, leżącego tu na czatach. Łotr nie przewidział, że zając w ostatniej chwili uskoczy nieco w bok, i ostre zęby kurczowo ścisnęły tylko lewy słuch i obcięły w połowie, jak nożycami. Rozpaczliwe dwa skoki — i Szarek rzucił się w mętny potok. Przecenił jednak, do cna wyczerpane siły. Prąd porwał go, obrócił parę razy i unosił na falach dalej i dalej...

Nagle wilki zaprzestały pogoni. Dlaczego? Wszak miały zająca tuż przed sobą? Miały jednak powód, choć na pozór błahy. Za zakrętem drogi, o sto kroków niżej, coś, jakby żelazna podkówka od buta uderzyła o kamień. A metalicznego dźwięku wilk nigdy nie puszcza mimo uszu. Jeden skok w bok, i gęsty podrost wchłonął obu zawiedzionych rabusi.

Gajowy Fedor miał właśnie służbowy obchód. W programie był Topolowy Wierch, i jeśli się da, to i Michałowa Polanka. Powoli szedł kamienistą drogą nad Szypotem — i ujrzał dziwny przedmiot unoszony prądem o dwa metry od brzegu. Był to zając — resztą sił walczący z falą. Gajowy jedną ręką chwycił się gałęzi, skoczył na kamień, wystający z wody i chwycił za kark Szarka. Nie bronił się biedaczysko — był w stanie zupełnego zobojętnienia. Więc bezbronnego włożył Fedor do plecaka i ruszył dalej. Długo leżał Szarek — jak martwy. Przebudził się wkońcu z omdlenia i... nowe nieszczęście; jest niesiony, wyczuwa dobrze chód człowieka, a wkoło ciemność. Delikatny nosek drażni nieznośnie ostry, niemiły zapach tytoniu i ludzkiego potu, chleba i słoniny. Oczywiście, jest w niewoli i musi się ratować.

Skoczył w górę... Oj! plecak nie puszcza. Zaczął się rzucać na wszystkie strony. „Uspokoisz się, ty gałganie, czy nie?" usłyszał głos Fedora. „Poniosę cię i tak do leśniczówki, to się pan leśny zdziwi, jak mu pokażę topielca. Te! słuchaj! gdzieś to ty zgubił pół ucha? co? rana mi się widzi świeżutka"...

Że gajowy na Michałową Polankę już nie poszedł, to nic dziwnego. Jeniec wyprawiał takie awantury w plecaku, że chyba tylko cierpliwy Rusin mógł znieść to bębnienie po plecach. Z Topolowego Wierchu zawrócił prosto do leśniczówki. Zastał szefa, czytającego list od przyjaciela z Czech.

„Posłuchajcie — gajowy — co mi piszą. Łaba rozlała po całym rewirze mego przyjaciela i wszystka zwierzyna wyginęła doszczętnie. Wszystko potonęło, sarny, zające, króliki i bażanty. To nieszczęście!"

„Coś podobnego stało się i u nas, panie leśny! Proszę popatrzyć, com przyniósł!" i z temi słowy obrócił się gajowy tyłem do leśnego.

„A tam co za djabeł siedzi w plecaku?" — uśmiechnął się leśny.

„Zającam wydostał ze Szypotu, prawie na śmierć zalanego".

Ostrożnie rozwiązali plecak i wyciągnęli Szarka, pomimo, że drapał i rozpierał się rozpaczliwie. Leśny obejrzał ślady zębów na odgryzionem uchu i zrozumiał wszystko.

„Był on już w paszczy wilka — przyjacielu. Ciachła go bestja — ale chybiła — ledwie pół ucha jej w pysku zostało. Najadł się, biedaczysko strachu. Dobrze żeście go przynieśli — jak na zamówienie. Poślę go przyjacielowi do Czech, niech im tam trochę odświeży krew!"

Wpuszczano Szarka ostrożnie do skrzynki, wysłanej sianem i nazajutrz nasz bohater jechał koleją w kraj nieznany.

(C. d. n.)



BENGT BERG

KSZYK

Na łące, najbliżej jeziora leżącej, mieszka para kszyków. Długo nie wiedziały, czy będą się tam gnieździć. Samka była niezdecydowana. Jeżeli człowiek otworzy śluzy, by łąki nawodnić dla lepszego zbioru siana, może być nadmiar wody. W innym wypadku zachodzi obawa, że będzie za sucho na łące. Kszyk wybiera troskliwie miejsce na swe gniazdo, a możliwości ma nad jeziorem więcej niż potrzeba.

Jakiś czas trzymała się nasza para, bliżej kamienistego brzegu. To było wcześnie, gdy tyle wody zalewało łąki, że nawet kszyk swym długim dziobem, gruntu pełnego przysmaków nie mógł osiągnąć. Ani kszyk ani inne brodźce nie zanurzają głowy w wodę, żerując, jak to robi ptactwo wodne. W tym czasie roiły się wyciśnięte tropy bydła niedaleko brzegu, smacznemi ślimakami i drobnemi owadami. Pełno było tam śladów kszyczego dzioba, który w błocie wiercił, by czułym końcem tegoż, wyczuć żer, niedostrzegalny dla pięknego bronzowego oka. To trwało jednak tylko jeden lub dwa tygodnie, z samego początku wiosny.

Gdy słońce poczęło lepiej przygrzewać, pierwiosnki zwiędły, a woda z bydlęcych tropów wyparowała. Poza czajkami, które szachowały wrony, chroniąc tem samem również i sąsiadów, nic już kszyków z tem miejscem nie wiązało. Natomiast w dole, między wodami jeziora a suchym brzegiem, oczekiwał naszą parę stół suto zastawiony.

Wraz z opadaniem wody wyrastała silna, gęsta trawa. Tam, gdzie między wyższemi kępami, kisła ogrzana woda, roiło się od małych tworów, któremi się kszyk rozkoszuje. Między trawami wyrastał sitnik, jednak nie tak gęsty jak na jeziorze, tak że kszyk, między źdźbłami mógł widzieć zbliżające się niebezpieczeństwo. Cały ten obszar to mięszanina świeżej zieleni i zeschłych lub gnijących zeszłorocznych traw i łodyg. Tam nawet błotniak nie ujrzy kszyka, gdy do ziemi przywrze. A kszyk w razie niebezpieczeństwa, zawsze przywaruje, bo wie, że jego pstre upierzenie jest jego najlepszym pancerzem ochronnym.

Jego brunatny grzbiet kryje się doskonale z kolorem bagnistej ziemi, pokrytej gnijącemi resztkami zeszłorocznej roślinności. Gdzie pióra błyszczą, zdaje się, że to krople wody na ziemi lśnią. Przez grzbiet i skrzydła, ciągną się paski słomkowego koloru, jak zeschnięte źdźbła trawy. Po bokach ma ciemniejsze paski, które gdy stoi, zlewają się znakomicie z łodygami sitnika i traw. Duże ciemne oczy osadzone są wysoko pod czaszką. Gdy stoi ukryty za kępką trawy, nie zdradza się swym długim dzióbem, lecz trzyma go pod ostrym kątem ku ziemi, kryjąc go w trawie. Podnosi tylko trochę piórka na głowie, pstre bronzowo-żółte, zlewające się z podściółką mokradła. Wielkie, trochę tęskne oko, lśni jak kropla rosy.

Gdy tak cicho siedzi, co zresztą chętnie czyni, gdy się człowiek zbliża, nie dojrzy go najwprawniejsze oko i prawie niema wypadku, by myśliwy kiedy kszyka na ziemi widział, chyba na otwartych błotach spuszczonych stawów, lub odsypiskach rzecznych. Inne małe brodźce lubią przed człowiekiem wyciekać na piechotę, lub oblatują go z trwożnem kwileniem, jeżeli w pobliżu mają gniazdo. Inne ciągną opuszczone skrzydła i zbliżają się do człowieka, by w ten sposób uwagę od gniazda i młodych odwrócić. Tego kszyk nie robi. Nie widać go siedzącego obok gniazda na jakiemś podwyższeniu lub patyku, co często jest w zwyczaju u innych brodźców. Wyjątkowo tylko po wywiedzeniu młodych, usiądzie czasem wieczorem na pobliskim płocie lub żerdzi, wołając swoje zegarowe tik-a tik-a.

Przeważnie ludzie nie wiedzą, że to kszyk tak woła, i myślą, że to jest głos całkiem innego ptaka. Tylko gdy się jak błyskawica w swym zygzakowatym locie z ostrem kszy kszy zerwie, lub gdy jasnemi nocami, w przestworzach dudni i beczy, poznaje go myśliwy. Gdy to tajemnicze niezrozumiane beczenie słychać, wiadomo, że to on, przez lud barankiem zwany, mały samczyk o względy swej wybranej zabiega.

Przez ten ciekawy głośny lot miłosny, znają go ludzie lepiej niż inne ptactwo błotne, a lud zabobonny widzi w tem coś nadprzyrodzonego. Setki lat, zastanawiali się ludzie, jak taki mały delikatny ptak wydaje ten ciekawy silny głos. Myśleli, że ton ów pochodzi z gardła lub lotek prujących powietrze. Przypuszczenia te były jednak mylne. Bęczący, dudniący głos wywołany jest drganiem dwóch bocznych sterówek w ogonie. Oba twarde pióra, przy sztywnie rozwartym ogonie, dudnią wibrując, gdy ptak w szalonym pędzie na dół opada.

——o——

Kszyki krzątają się i biegają bez przerwy, wśród traw i szuwarów swej łąki. Zajęte bywają cały dzień, kłując miękką ziemię, długiemi dzióbami. Tylko w południe, gdy słońce silnie praży, siedzą cicho w trawach, i czekają drzemiąc, na cichy chłód wieczora. Gdy mgły zaczęły opalowym welonem ziemię otulać, a słońce wśród purpury i złota, za widnokręgiem znikło, i od wód jeziora chłód przypełzał, podnoszą się małe ptaszyny, badając, czy już spokój nastał w ich krainie.

Bydło, które chłopek na chudą wiosenną paszę wygnał, już do ciepłych obór powraca. Czajki wiedząc, że wróg ich, wrona, już śpi, przestają zawodzić i narzekać. Tylko żuk czasem zabuczy i kaczki ze świstem i szumem prują przestworza.

Słychać cichy głos, jak wyraźne tykanie zegara. Nie wiedzieć skąd, a wszędzie go słychać, to dalej to bliżej. Kszyki zaczynają wabić.

Nagle wabienie ustaje, jakby się ptaki czegoś przelękły. To nic, tylko kszyki przygotowują się do popisów lotniczych. Wyskoczył teraz jeden na kretowinę, odważny, już się nie kryje, bo sokół, wielki wróg kszyka już z nad jeziora odciągnął. Lśni drobna biała pierś w mroku, ku radości wybranki małego rycerzyka. Wtem z silnem klaśnięciem skrzydeł jest już w powietrzu.

Najpierw zatacza koło tuż nad ziemią obok nieruchomo stojącej samiczki. Teraz wznosi się w górę. Nie porusza skrzydłami jak inne ptaki, nie robi to wrażenia lotu. Wznosi się jak ciężka piłka ręką olbrzyma w zabawie rzucona, a skrzydła poruszają się tak szybko, jakby skutkiem prądu powietrza drgały.

Ledwie wzleciał, już zginął w górze w przestworzach. Nie widać go w mroku, ale może to wina naszych tak słabych oczu. Gdy skręci w stronę jasnej jeszcze zorzy, można go zobaczyć jak w dół opada. Skrzydła, które przed chwilą tak szybko drgały, że ich dostrzec nie można było, są napięte, wzniesione w górę. Ogon rozpięty jak parasol, i z dudniącym beczącym głosem, który się po całej okolicy roznosi, spada ptak w dół, jak kula.

Ale już jest znowu w górze. Spadał wiele wiele metrów, lecz w tem spadaniu nabrał nowego pędu, mknie pod niebiosa, zataczając olbrzymie kręgi. Chwilami zanika ten dziwny głos, aż hen pod ścianą lasu, czasem z innej strony echo go niesie. To znowu szybuje nad uprawne pola i ludzkie osiedla, jakby sobie z ludzi pokpiwał, leci nad jezioro, by się swą sztuką w zwierciadle wodnem zachwycać. Nie ma spokoju tam w górze, nosi go światami, a czasem słychać gdzieś z daleka, inny jego głos... tykanie zegara.

Potem o późnej już godzinie, słychać z łąki ciche, delikatne tik-a, tik-a. I z największej wysokości, gdzieś z pod obłoków spada rycerzyk na dół. Jak gdyby mu w cudownym, upojnym locie, drobne serduszko pękło, składa skrzydła i spada dudniąc, na drogą mu kępkę, gdzie go miłość i szczęście czeka.

Teraz taka cisza i pustka na łące, jak gdyby cudna noc wiosenna nadsłuchiwała, dla czego i gdzie skończył się szalony lot miłosny.



Dr. AUGUST ŁOZIŃSKI

ZAUFANIE

Na starych „Arrasach", zdobiących ściany komnat w Warszawskim Królewskim Zamku i na Wawelu, oglądamy przepysznie utkane sceny biblijne, w których życie pierwszych naszych rodziców i ich potomków wiąże się ściśle z życiem zwierząt wszelkiego rodzaju.

Adam z Ewą przebywają w raju pośród gromady dzikich bestyj i całych stad fantastycznych ptaków; zbrodni Kaina przypatrują się ze zgrozą rozliczne czworonogi i skrzydlate stworzenia, a na skinienie Noego wchodzą posłusznie w przeddzień potopu do jego misternie zbudowanej arki, parami, wszelakie zwierzęta lądowe i powietrzne, ażeby zachować na przyszłość rodzaj swój i przetrwać dnie zagłady.

Ta symbioza człowieka, pana wszelkiego stworzenia, ze światem zwierzęcym wcale nas nie dziwi i wierzymy, że były na naszej planecie, nazwanej Ziemią, czasy, w których święty pokój panował pomiędzy mieszkańcami naszego globu, bez względu na to, że człowiek, dotykający tylko stopami ziemi, ku niebu miał zwrócone oblicze, a zwierz lub płaz z pochyloną głową szukał pożywienia, albo też pełzając do ziemi tej, przylegał. Wiemy dlaczego i jak zepsuła się ta pierwotna idealna harmonja i że począwszy od grzechu pierworodnego, poprzez konieczność szukania środków spożywczych przy akompanjamencie zbrodni zabójstwa słabszych stworzeń przez silniejsze, aż do zaspokajania rozkoszy ukrytej w samem pozbawianiu życia swych bliższych lub dalszych towarzyszów pożycia na tym padole płaczu, ciągnie się całe pasmo przemian biologicznych i historycznych, których zakończeniem jest smutny, lecz obecnie mało już kogo rażący, stan rzeczy, iż od mikroba począwszy, a na królu zwierząt lwie kończąc, nietylko poszczególne gatunki zwierząt nawzajem się zjadają, ale nawet stał się homo homini lupus i tępi swój własny rodzaj zapamiętale.

Mimo to jednak ten kto bacznem okiem wgląda w tajemnice przyrody i umie wyczuć wnioski z jej cudownych

przejawów, stwierdzić dziś jeszcze może, iż istnieją dotąd ślady i przeżytki pierwotnego zaufania stworzeń niższych do człowieka i że trwoga zwierząt nie odnosi się do ludzkiej postaci in principio, ale raczej do tych w niej objawów, które mówią o złych zamiarach ludzkich zwróconych przeciw innym współmieszkańcom ziemi. Wszak mamy tego liczne przykłady, że nawet najdziksze, krwiożercze zwierzęta oswajają się i przywiązują ślepo do swych Panów, gdy oni okazują im dobroć, łagodność i pieczołowitość; wszak doświadczamy tego codziennie, iż najtrwożliwsze zwierzęta zbliżają się do siedzib ludzkich i zamieszkującego je człowieka, gdy na podstawie dłuższego doświadczenia przyjdą do przekonania, że nie grozi im ze strony tego ich prześladowcy żadne niebezpieczeństwo. My zwłaszcza myśliwi wiemy o tem doskonale, że nawet zabijane przez nas zwierzęta łowne tak długo mają do nas pewne zaufanie, dopóki ruch, ów giest, będący początkiem nieprzyjacielskiego działania, nie zdradzi naszych złych wobec zwierzyny zamiarów.

Pierwszym warunkiem powodzenia i uzyskania na polowaniu dobrego spotkania jest zawsze umiejętność zachowania na stanowisku ciszy i idealnego bezruchu. Nie wierzę w szczęście i fawory św. Huberta, któryby jednemu myśliwemu dawał przez cały jego żywot łowiecki szanse ubijania wielokrotnie wyższej liczby zwierzyny ponad inego towarzysza, który strzela równie celnie, lecz nie opanowuje swych nerwów. Przyszedłem niejednokrotnie do przeświadczenia, że niepowodzenie przy tem lub owem spotkaniu przypisać mogą tylko swemu własnemu niepokojowi na widok w oddali ukazującej się zwierzyny. Obserwowałem nieraz owych „szczęściarzy", którym lis lub kozioł szedł pod lufę jak na sznurku i przekonałem się, że zupełne opanowanie swych ruchów i posągowa postawa były powodem, a raczej zasługą, zdobycia przez nich trofeów myśliwskich.

Przymuszałem się nieraz do zachowania owego koniecznego, olimpijskiego spokoju i przymus taki, należycie wytrwany, był zawsze skuteczny. Pamiętam, iż w czasie takiej próby, sarna, która spostrzegła mię stojącego prawie na czystem, gdy była oddalona na jakich 15 kroków, nietylko nie pierzchła na mój widok, ale powodowana ciekawością sprawdzenia, co znaczy ów nieruchomy, a z kształtów podejrzany słup, zbliżyła się do mnie kocim ruchem, bez szelestu, na 3 kroki i jeszcze nie mogła rozpoznać obserwowanego bystrym swym wzrokiem przedmiotu, aż do chwili, gdy mrugnąłem zachodzącą łzą z wytężenia okiem. Wówczas odskoczyła w szalonym popłochu.

Może kilka przypadków z mego obcowania z przyrodą zajmie czytelników „Łowca" i poprze moją zasadniczą tezę.

Polowaliśmy w pobliżu Lwowa, wyłącznie na słonki i lisy. W pierwszym miocie miałem skrajne stanowisko na szerokiej linji, porosłej trawą, a wzdłuż gonionej sekcji lasowej biegła ścieżka wyraźnie wydeptana przez gosposie zdążające da targ lwowski. Obrałem najdogodniesze miejsce i wbiłem kolec krzesełka w sam środek owej drożyny. Gdy tylko odezwała się trąbka gajowego zapowiadająca rozpoczęcie gonu, gdy tylko zaskrzeczały pierwsze sojki, ale zanim jakikolwiek strzał zamącił zupełną zresztą ciszę, ujrzałem w miocie zająca, który już uspokojony po pierwszem odezwaniu się naganiaczy, zdążał ku mnie galopkiem, dotarł do linji o jakich 50 kroków odemnie i stanął słupka na ścieżynce. Widocznie nastawione słuchy powiedziały mu, że nie ma jeszcze powodu do trwogi i ucieczki, skoro począł kicać ścieżką wprost ku mnie, a gdy siedziałem jak mur, przywędrował aż do zagrodzenia, które na drożynie tworzyły moje krzesełko i własna moja osoba. Nie ominął nas jednak miły kopyra, lecz zwróciwszy się ku lasowi, z którego dochodziły jeszcze odległe, choć coraz wyraźniejsze, nawoływania nagonki, usiadł na tylnych skokach tak blisko mnie, że tworzyliśmy dobraną parę widzów, czy też słuchaczów, zajmujących niejako dwa obok siebie położone krzesła w widowni. Z niezbyt wysokiego krzesełka mogłem dosięgnąć ręką słuchów mego przygodnego towarzysza, lecz nie chciałem zrobić mu tej niespodzianki; wolałem obserwować go i czekać wyniku tego miłego spotkania. Zając nastawiał słuchy, poruszał wąsami, a po kilku minutach tego przyjacielskiego obcowania ze mną, skombinował trafnie, że wobec zbliżającej się zgraji naganiaczów lepiej unieść całą skórę i wtedy obrócił się na piętach i bez pożegnania (co za brak uprzejmości!) odszedł w skokach do tylnego miotu. Niewątpliwie do końca swego krótkiego żywota (płot trzy lata, kot trzy płoty!) nie dowiedział się, jak jego przygodne towarzystwo było mi miłe i pamiętne. Zawdzięczałem je unieruchomieniu mego grzesznego ciała.

Ciekawszym był wypadek drugi. W zamierzchłych czasach XIX stulecia polowało się przy końcu wakacyj szkolnych na zajączki, zasiadając pod lasem na wychodnego. Pod poturzyckim lasem zwanym „Borek" biegła zapylona droga, którą od lasu oddzielał płytki rów. W tym rowie obrałem sobie miejsce dogodne i usiadłem wygodnie. Już zmierzch zaczynał się rozpościerać, lecz było tak jasno, że w oddali widziałem sarny wychodzące z ostępu na nadbużańskie łąki. Nagle zamajaczył mi przed oczami niby z góry spadający cień i gdy spojrzałem przed siebie spostrzegłem dziwne widowisko. Tuż, na dwa kroki przedemną, panoszył się na drodze pulchny okrągły placuszek, pozostawiony tam przez krowę, która wczoraj wracała ku domowi z pastwiska, a obok tego specjału zapadła słonka, ów ptak pełen tajemnic i niespodzianek. Wtedy to po raz pierwszy, a następnie przed kilku laty w czasie polowania ponownie, sprawdzić mogłem, w jaki sposób słonka zapada na ziemię. Spada ona ku niej jak kula, nie zwalniając prawie szybkości lotu, a mimo to pozostaje w miejscu swego zapadu, nie robiąc równoważących siłą lotu dodatkowych kroków po ziemi, jak to czynią np. bocian, kuropatwa i wiele innych ptaków. Jednak i słonka musi schwycić równowagę, ażeby nie zaryła swym długim dziobem w ziemię, a czyni to w ten sposób, iż w chwili, gdy nóżki jej dotykają ziemi, nastrasza pióra, opuszcza skrzydła i roztacza swój niedługi ogonek w wachlarz, całkiem taksamo, jak czynią to wielkie i wspaniałe ptaki, paw lub indyk, oczywiście jednak ze znacznie mniejszym efektem wzrokowym, ale zato w bardziej zrozumiałym celu, aniżeli jej mistrzowie, którzy okazują tylko w ten sposób wiele nieuzasadnionej pychy i przesadnej zarozumiałości. Ale i odporniki utworzone przez słonkę i opisany tu sposób byłyby widocznie niewystarczające do przeciwdziałania balistycznej sile lotu, skoro

słonka wprawia nadto swe ciało w szybkie drganie, które uspokaja się niebawem po osiągnięciu równowagi, poczem przysiada lub pozostaje w pozycji stojącej.

Otóż moja słonka stanęła nad krowim plackiem i wówczas rozpoczął się jej taniec około zastawionego stołu. Przekrzywiała na bok główkę, wlepiając oko w żółtobrunatną potrawę i trawersując komicznie, okrążała ją, wbijając co chwilę swój długi nos w wonną przyprawę. Gmerała w niej widocznie skutecznie, gdyż co chwilę wyciągała dziób z interesującego krążka i przetykała zdobyte poczwarki czy też robaki. Widowisko to, które obserwowałem z odległości najwyżej 3 kroków, trwało długo, i już cały placuszek był należycie przez długodzióba podziurawiony, gdy nareszcie ruszyłem się i spłoszyłem słonkę, która odleciała, nieścigana moim strzałem, gdyż zawiele zawdzięczałem jej miłego i doświadczalnego widoku, ażebym mógł dybać na jej życie.

A teraz inny drobny wypadek świadczący o daleko idącem zaufaniu zwierząt do ludzi.

Polowałem na kuropatwy i przepiórki na bujnych łąkach w powiecie jarosławskim. Pies, będący własnością mojego towarzysza, przeszukiwał pole raczej w jego stronie, ja zatem wydeptywałem sam liczne w tym roku przepiórki. Gdy szedłem tak wśród wysokich i już nieco przejrzałych traw, ujrzałem, że przedemną to pierzcha, to buja stadko malutkich ptaszków, tak drobnych i lekkich, że każda trawka unosiła z łatwością ciężar żerującego na kłoskach i nasionkach tych naszych kolibrów. Były to niewątpliwie „Gajówki pierwiosnki" (Sicedula prochinus) owe nasze kolibry, w łacińskiej nawet nazwie kryjące podobieństwo do egzotycznych liliputów, gdyż prochinus znaczy w łacinie koliber. Otóż te miłe ptaszyny nie okazywały przedemną obawy i nie odlatywały w dal, lecz po kilkunastu krokach lotu przysiadały znów na trawach i dozwalały mi zbliżyć się, tak dalece, iż w końcu zdjąłem kapelusz i złapałem podeń, jak motyla, jednego z igrającej ze mną gromadki. Odłożywszy strzelbę zajrzałem ostrożnie pod kapelusz, lecz panowała tam grobowa cisza. Dopiero po dłuższych poszukiwaniach znalazłem zaplątane wśród źdźbeł martwe zwłoki ptaszyny. Wykluczonem jest, iżbym ją zabił uderzeniem kapelusza, gdyż przykryłem nim tylko zlekka niebacznego ptaszka, nie mogłem także zdusić swej ofiary, gdyż gęste sploty miękkich traw ugięły się elastycznie, a więc anewryzm serduszka, apopleksja wywołana nagłem przerażeniem była powodem śmierci ptaszyny i skutkiem niewczesnego mojego żartu. Ptaszek przepłacił życiem zbytne zaufanie w dobroć człowieka.

Nakoniec jeszcze jedno przeżycie w światku małych istot.

Bawiłem w czasie studjów uniwersyteckich, ucząc się do jakiegoś egzaminu, w Peczyniżynie, już wówczas gwarem nafciarskim przepełnionem miasteczku, powiatu kołomyjskiego. Pewnego dnia przebiegła od krańca do krańca podgórską tę miejscowość sensacyjna wieść, że wychodzące z gór dziki pustoszą pola huculskie, wyjadając z nich smaczne „barabole", będące jednym z głównych artykułów żywiących ludność wiejską. C. K. Starostwo zarządziło generalną obławę i poprzysięgło śmierć najezdcom. Żądny wrażeń przyłączyłem się do tej wyprawy krzyżowej i w upalny dzień sierpniowy wyruszyliśmy w towarzystwie różnych typowych Oberförsterów i żandarmów, strojnych w błyszczące kogucie ogony, w przyległe górskie ostępy. Kto nigdy nie brał udziału w takiej przez rządowe władze zarządzonej obławie, ten nie wie, że wyrusza się na nią po pierwszej i drugiej kolejce wódki, gdy słońce zbliża się do zenitu, że bierze się przez dzień Boży najwyżej dwa mioty, a każdy z nich trwa szereg godzin.

W pierwszym miocie wypadło mi stanowisko na pochyłej dość szerokiej linji, która w miejscu mej zasadzki rozszerzała się w piękną prześlicznie ukwieconą łączkę. Tysiącem barw grały tam ogromne górskie rumianki, firletki, miodunki, skabiozy, mieczyki, wśród których mijały się roje pięknych motyli. Pozbywszy się, aż do koszuli ubrania, czekałem cierpliwie na zapowiedziane odyńce, wycinki i maciory, pławiąc się do siódmego potu w powodzi słonecznej. Srogie nudy brały mię w swe posiadanie ,a więc nic dziwnego, że jako nałogowy entomolog obserwowałem z zainteresowaniem tańczące ponad kwiatami okazy motyli. Nagle nadleciała przepyszna „Pafia" (Vanessa Paphia) o żółto-złotych skrzydłach, upstronych misternie gęstemi bronzowemi plamkami, ów jaguar pośród motylego rodu, zwana także popularnie „Dostojką" z powodu dostojeństwa swych barw i królewskiego płaszcza. Widocznie nie szukała już kwiatowych nektarów, gdyż okrążyła tylko łączkę i nagłym rzutem zbliżywszy się do mnie, usiadła najniespodziewaniej na białym rękawie mojej koszuli. Po chwili puściła się znów w zawrotny tan powietrzny i gdy ponownie płynęła ku mnie, nadstawiłem jej dłoń lewej ręki, na której usiadła z zaufaniem. Przypatrywałem się z upodobaniem barwnej szacie mojej dostojnej pani, a wreszcie ośmielony jej poufałością spróbowałem wskazującym palcem prawej ręki pogłaskać dostojkę po skrzydełkach, które to rozkładała ku słońcu, to składała. I o dziwo, motyl nie uchylał się od tej pieszczoty, mimo, że palec mój w porównaniu do jego wątłego korpusu musiał czynić takie wrażenie, jakgdyby kto głaskać mię chciał po grzbiecie jedną z podstaw konstrukcji wieży Eiffla. Takie karesy, przyjmywane z całą poufałością trwałyby bez końca, gdyby nie tętent zbliżającej się zwierzyny w postaci sarniej parki, która przemknęła przez linję o kilkadziesiąt kroków odemnie. Dostojka, która lubowała się głaskaniem mojej potwornej ręki, przeraziła się jej nerwowego drgnienia i przepadła w powietrznych przestworzach, a więc znów przykład zaufania aż do chwili za groźny uznawanego ruchu. Obława na dziki skończyła się bez strzału.

Możnaby snuć dalej przykłady takiego stosunku człowieka do stworzeń, zamieszkujących z nim to „ziemskie kolisko", lecz ograniczam się do tych kilku przykładów, z własnego doświadczenia, które oby choć w części tak czytelnika zajęły, jak mnie utkwiły przez całe życie w pamięci.





A. GROETSCHEL

Niezwykle śmiały atak lochy

16 lutego 1905 roku, w jasną, księżycową, niemal bezchmurną noc, szliśmy wraz z gajowym Janem Smorągiem przez rozległe stare lasy — obficie poprzerzynane licznemi łąkami. — Świeżych tropów sarn, zajęcy i lisów napotykaliśmy bez liku — zwierzyny jednak nie dostrzegliśmy żadnej, śnieg bowiem przy około 10 stopniach mrozu, skrzypiał silnie pod naszemi stopami.

Często zatrzymywaliśmy się nad skrajem łąk — wyczekując jakiego spotkania — a gdy cisza zupełna zaległa dokoła, wyciągałem z kieszeni oryginalny wabik Ulenhutha i mniej lub więcej udatnie naśladowałem rozpaczliwe kniazienie szaraka. — Żaden jednak drapieżnik na wabia nie reagował. — Na ostatniej łączce pod t. zw. „Pożarką", zatrzymaliśmy się na dłużej — tu bowiem był wybitny przesmyk lisi. — Po chwili zacząłem biadać na wabiku, czyniąc większe przerwy; — nie było jednak dookoła żadnego życia. — Nagle doszedł mych uszu z poza mnie, jakiś delikatny szelest — ostrożnie przygotowując się do strzału — odwracam zwolna głowę: to kuna leśna szła na wabia, a spostrzegłszy mój niefortunny ruch, pomknęła kilkanaście kroków w las i skoczywszy na pień starej sosny, szybko wywindowała się w iglastą koronę. Wszelkie poszukiwania drapieżnika przy pomocy szkieł — nie dały żadnego rezultatu. — Światło księżyca okazało się za słabe, by wśród gęstwy igliwia dostrzec to zwinne zwierzątko.

Daliśmy przeto za wygraną i poszliśmy dalej. Gajowy zajął pozycję przy lisich jamach, które znajdowały się w pobliżu, ja zaś zasiadłem przy ścierwie końskiem, rzucanem dla dzików na karmę — wśród kilkunastoletniej kultury sosnowej.

Była już późna noc. — Księżyc bliski pełni płynął spokojnie na bezchmurnem niebie — a w bladem jego świetle las drzemał bez drgnienia, rzucając nieruchome, fantastyczne cienie. — Cisza była zupełna — zdawało się, że słyszę tętno własnego serca i nieraz silniejszy oddech płuc. — Stanąłem na złamanym pniu starej sosny o jakie 1 mb. nad ziemią, z wytężonym wzrokiem i słuchem. Nagle od strony południowego wschodu doszedł z dali mych uszu jakiś bardzo niewyraźny, lecz stale wzrastający szmer — jakby odległy szum liści. Szmer ten rósł ciągle i szedł coraz wyraźniej ku mnie. Wytężyłem słuch, nie ulegało żadnej wątpliwości, że zbliża się jakiś większy zwierz, że jest jednak jeszcze daleko.

W istocie wkrótce począłem odróżniać coraz wyraźniej kroki, potem miałem wrażenie, że idą dwaj ludzie. Rzecz prosta myślałem, że dwóch kłusowników zdąża na zasiadkę do ścierwa; naładowałem przeto moją szesnastkę drobnemi lotkami i wyczekiwałem z przyśpieszonem tętnem serca, spotkania. — Lecz przysłuchując się dłużej — doszedłem do wniosku, że to nie ludzie, lecz dziki zbliżają się do padła. — Przewiesiłem przeto strzelbę przez ramię i ująwszy w rękę szkła, począłem szukać wśród młodych sosen, dzików. — Jakoż niebawem dostrzegłem w istocie kilka zbliżających się czarnych sylwetek dziczych. — Na przodzie szła dość duża locha, a za nią sunęły przelatki. — Strzelać nie miałem zamiaru, na dziki polowaliśmy wówczas tylko w dzień i z nagonką, w pewnych ściśle określonych terminach. Pozatem nie strzelam nigdy do zwierza w zimie przy podanej karmie — prócz wilka, lisa i gołębiarza. — Locha tymczasem zbliżyła się do ścierwa od strony dla mnie bardzo niekorzystnej — wiatr bowiem, choć bardzo słaby, ciągnął odemnie ku dzikom. — W pewnym momencie locha wysuwa się na kilkanaście kroków przed stado, poczyna wietrzyć, ciągnąc silnie nozdrzami powietrze, podchodzi znów bliżej ku mnie — wietrzy na prawo i lewo — wreszcie wydawszy powszechnie znany u dzika głos zaniepokojenia — cofa się ku stadu i niknie wraz z prowadzonemi dzikami w gąszczu.

Jakież było moje zdziwienie, gdy za kilka minut potem wraca ta sama locha bardzo silnie podniecona — na to samo miejsce — lecz już bez młodych, zatrzymuje

się na moment, wydając głos wzburzenia — kłapie szczękami i rusza wprost na mnie ostrym kłusem.

Moja pozycja 1 mb. nad ziemią pozwala mi pozostać spokojnie na miejscu i zamiast strzelby, posługiwać się szkłami. Samura tymczasem wpadłszy w ataku na jakie 6 kroków przedemną, wstrzymuje się na moment — niespokojnie — nerwowo szuka przeciwnika, a nie mogąc dokładnie oznaczyć jego pozycji, orjentuje się, że jest w wielkiem niebezpieczeństwie. Owłada nią na chwilę trwoga, rzuca się więc niespokojnie w bok, gdzie większy gąszcz i półkolem wraca na dawną pozycję. — Tu wietrzy ponownie, huczy i uderza na mnie po raz wtóry. Tuż przedemną zatrzymuje się, szuka mnie niespokojnie, — powtarza się to, co za pierwszym razem — wreszcie trzeci atak; trzeci raz zaniepokojenie i odwrót uboczną i krytą drogą — wreszcie widząc, że nic nie wskóra, że wróg niedostępnie gdzieś ukryty, zabiera swoje stadko i odchodzi ostatecznie.

Zapada znowu zupełna cisza, jaka bywa tylko w głębiach rozległych lasów, w czasie mroźnych zimowych nocy.

W pół godziny później od strony południa, słychać wyraźnie zbliżającego się grubego zwierza. To pojedyńczy dzik, zbliża się do ścierwa — wietrzy głośno — skręca na tropy poprzednich dzików, idzie czas jakiś temi śladami i dociera do miejsca, gdzie poprzednio stała locha.

Na luce, między sosenkami, poznaję przy pomocy szkieł odyńca. — Zwierz ten wietrzy czas krótki, poczem przekonawszy się o grożącem mu niebezpieczeństwie — oddala się kłusem, niknąc w gąszczach.

Jeszcze półtorej godziny zasiadki, ponieważ nic nie nadchodzi, decyduję się wracać. — Od strony stanowiska gajowego, dochodzi odgłos strzału — wedle późniejszej informacji, było to pudło do lisa przy jamach.

Niemal nad ranem wróciłem do domu z tej nocnej wycieczki, wprawdzie bez żadnej zdobyczy, lecz z pięknem wspomnieniem atakującej lochy — wspomnieniem, które po przeszło 27 latach, tak silnie tkwi w mej wyobraźni, że widzę w niej najwyraźniej tę przepiękną, jasną noc zimową — te w bezruchu i zadumie pogrążone drzewa i tego pięknego, wzburzonego, czarnego zwierza, który ufny w swe siły i odwagę, śmiało wyzywał mnie do walki, nie bacząc, że dzięki mej pozycji i broni, miałem nad nim bezwzględną przewagę.

Inż. WALERY MARYAŃSKI.

Ciekawe próby z bezdymnemi prochami śrutowemi

Streszczenie artykułu p. t. „Bezdymne prochy śrutowe w świetle cyfr“, ogłoszonego w „Łowcu Polskim“.

(Napisał Inż. Walery Maryański, generał brygady WP.).

Ubiegłej zimy przeprowadziła Państw. Wytwórnia Prochu w Pionkach (P. W. P. Pionki) szereg bardzo ciekawych prób z bezdymnemi prochami śrutowemi i to tak krajowemi, jak i zagranicznemi — z któremi chciałbym Sz. Cz. zaznajomić, streszczając w krótkości zwyż cytowany artykuł „Łowca Polskiego“.

Próby te są dlatego b. interesujące, bo usuwają definitywnie wszystkie indywidualne zapatrywania na wartość prochów, oparte na powierzchownej obserwacji ze strony laika — a podają c y f r y, które jedynie dają możność bezstronnej, realnej, na naukowej podstawie opartej oceny.

Próby obejmowały:

a) chyżość
b) ciśnienie na ściany lufy
c) przebicie i
d) pokrycie.

Próby przeprowadzono z jednej i tej samej strzelby (t. j. piżonierki firmy T. P. Sauer u. Sohn, Sahl) kal. 12 — jednym i tym samym numerem śrutu (tj. 2,5 mm średnicy, 32 gramy w 310 ziarnkach) i łuskami „Normal“ z fabryki „Pocisk“, 65 mm długości.

Odległość: 35 m = 50 kroków.

Wyeliminowano w ogóle wszystkie czynniki, które — poza prochem — mogły wpływać na dobroć strzału.

ad a) **Chyżość** mierzono w 15 metrze (V_{15}).

ad b) **Ciśnienie** na ściany lufy mierzono w dwóch miejscach — a to w samej łusce w wysokości przybitki prochowej (P_1), — i tuż poza wylotem łuski (P_2). Używano do tego tz. „Sauer'sche Gasdruckflinte“.

ad c) **Przebicie.** Wprawdzie już pomiar chyżości daje dostateczną miarę do oceny przebicia, ale jest wielu strzelców i myśliwych, dla których cyfra, wyrażająca metry w sekundach — jest pojęciem oderwanem — podczas gdy ilość przebitych tekturek jest pojęciem realnem, łatwem do skontrolowania. Dlatego przeprowadzono te próby przebicia w sposób, używany dotąd przez wielu rusznikarzy, a mianowicie ustawiając w odpowiednio urządzonej skrzynce ćwiartki tektury 25 × 25 cm, o grubości 0,85 mm — w odstępach 1 cm jedna za drugą i strzelając do nich na 35 m.

Przy ocenie rezultatów przebicia tą metodą osiągniętych, trzeba było uwzględnić fakt, że nie wszystkie śruty, które przebijają pierwszy karton, przebijają r ó w n o m i e r n i e także i inne kartony. Przeciwnie! Obserwuje się, że w ostatnim kartonie, wykazującym jeszcze przebicia — jest liczba przebić daleko mniejsza, niż w pierwszym. Aby z tego wybrnąć i dla oceny przebicia stworzyć solidną podstawę — zastosowano następującą zasadę: obliczano ilość przebić w 1 kartonie i szukano w następujących kartonach ten, który posiada jeszcze p o ł o w ę przebić (50%), znalezionych w 1 kartonie; ilość kartonów, liczona od 1 aż do tego, który posiada jeszcze połowę przebić, znalezionych w 1 kartonie — uznano za miarodajną dla oceny przebicia.

Za zadowalniający wynik uważano ten, w którym śrut 2,5 mm w serji z 10 strzałów dawał p r z e c i ę t n i e na jeden strzał przebicie 11-tu kartonów.

ad d) **Pokrycie** badano w zwykły sposób, na tarczy o średnicy 75 cm, podając w procentach ilości śrutów, znajdujących się w ładunku znalezione wewnątrz tarczy przestrzeliny. N. p. jeśli w ładunku kal. 12 było w 32 gramach śrutu 310 ziarn a w tarczy znaleziono 217 przestrzelin — to pokrycie wynosiło 70%. Strzelano serjami po 10 strzałów.

Poddane próbom gatunki prochów zagranicznych i krajowych — oraz rezultaty niemi, przy stanie barometrycznym 758, osiągnięte — zawiera poniżej podana tabela.

L. p.	Nazwa prochu i pochodzenie	Ładunek w gramach: prochu	Ładunek w gramach: śrutu (2·5 mm)	V_{15} (czystość w 15 metrze podana w m/sec.)	Δ max. (Maksymalna różnica chyżości wewnątrz serji)	P Ciśnienie na ściany lufy w atmosferach (kg/cm²): P_I	P_{II}	P_{max}	Przebicie kartonów (przeciętna ilość)	Pokrycie: %
1	Rottweil (Niemcy)	2·2	32	287·0	11·2	308	403	454	11·7	76·6
2	Müllerite (Belgja)	2·1	32	280·6	28·9	289	334	524	11·4	73·3
3	Diamond (Anglja)	2·2	32	296·9	15·8	606	793	828	10·6	66·9
4	E. C. Nr. 3 (Anglja)	2·14	30	281·7	7·3	496	640	726	11·0	69·8
5	Schultze (Anglja)	2·72	32	292·7	11·6	746	723	900	11·9	69·2
6	Du Pont Bulk (Ameryka)	2·15	32	285·7	13·5	448	596	674	10·5	61·7
7	Velox (Czechosłowacja)	2·2	32	283·6	8·3	325	399	490	10·6	74·8
8	Łoś (Polska)	2·2	32	291·1	29·6	334	403	551	11·1	73·7
9	Szarak (Polska)	1·8	31	259·4	34·5	190	231	269	10·0	77·2
10	Sokół (Polska)	2·2	32	297·7	8·1	360	423	497	12·2	73·1
11	Kuropatwa	2·1	32	290·0	15·7	317	417	469	12·4	76·0

Porównując cyfry tej tabeli przychodzimy do następujących wniosków.

Zagraniczne prochy:

Niemiecki Rottweil i belgijski Müllerite są znane dobre i solidne prochy — mające od mniejwięcej lat 50-ciu wyrobioną markę.

Angielskie i amerykańskie prochy charakteryzuje duże ciśnienie na ściany lufy; są one obliczone na bardzo silnie zbudowane strzelby. Jednak wiemy, że duże ciśnienie nie zawsze idzie w parze z dużą chyżością — a działa z reguły ujemnie na pokrycie; przekonują nas o tem n. p. daty odnoszące się do prochu „Diamond“.

Charakterystyczną dla dobrego wykonania danego prochu jest rubryka Δ max — podająca różnice chyżości wewnątrz serji; mianowicie im staranniej i bardziej fachowo jest jakiś proch sfabrykowany, tem mniejsze wahania chyżości między stratami w serji i tem równomierniejsze strzały. N. p. między angielskiemi prochami wpada w oczy pod tym względem proch C. E. 3, którego Δ max wynosi ledwie 7,3 m/sek.

Czeski „Velox“ daje doskonałe pokrycie — ale małą chyżość. Wartość Δ max — jest b. niska.

Krajowe prochy:

„Szarak“ jest na ogół lichym prochem, którego główną wadą jest, że daje nieproporcjonalnie małą chyżość, ma on mały ciężar gatunkowy, wskutek czego nie można zwiększyć jego dawki, bo nie byłoby miejsca w normalnej łusce miejsca na śrut; podana zaś przez fabrykę dawka prochu jest — zdaje się — za mała, by nadać śrutom chyżość, dorównującą innym prochom. Oczywiście przy tak małej chyżości wykazuje proch ten bardzo dobre pokrycie — ale to nie zdoła wyrównać ujemnych skutków małej chyżości.

„Los“, „Sokół“ i „Kuropatwa“ przedstawiają się mniejwięcej jako równowartościowe — a drobne różnice jużto w chyżości wzgl. liczbie przebitych kartonów, jużto w pokryciu nie będą grały w praktycznem użyciu roli.

Jedynie „Sokół“ wykazuje b. małe Δ max, czem wyróżnia się korzystnie od innych prochów krajowych.

Na ogół wychodzą więc te trzy nasze prochy krajowe wcale zwycięsko z porównania z zagranicznemi prochami — co na chwałę naszego przemysłu prochowego z przyjemnością zapisać należy.

Tabela powyższa, podając daty oparte na tak skrupulatnie przeprowadzanych próbach — kładzie wreszcie koniec rozmaitym „indywidualnym“ obserwacjom (opartym z reguły na przypadkach, wyolbrzymionych do reguły) — każe zamilknąć wszystkim mniej lub więcej już dziś nieusprawiedliwionym hymnom pochwalnym na cześć zagranicznych preparatów — i niewątpliwie przyczyni się do tego, że myśliwi w Polsce przejdą definitywnie na wyłączne posługiwanie się krajowemi, zresztą doskonałemi prochami.

Św. Hubertowi cześć!



W. G. S.

Ładunki konserwujące broń

Każdy myśliwy nieraz odczuł, jak przykrą i uciążliwą sprawą, jest czyszczenie broni po polowaniu.

Wożenie swego strzelca coraz bardziej ustaje, a człek zmachany, roztrzęsiony, zmarznięty, lub co gorzej przemoknięty, chce się trochę ochędożyć, wypocząć, przebrać, a tu czyść broń!

Służba zajęta obsługą gości, podawaniem do stołu, później herbaty, sprząta i trzeba specjalnej protekcji, aby któryś umiejętny fachowiec miał czas zająć się bronią.

Sztucer właściciel jeszcze wyczyści sobie sam, to święte, ale dubeltówka! Niech zaczeka, odejdzie pod kołdrą, ma czas, nic się jej nie stanie — wolę wypocząć przed bridżem.

Tam gdzie przeważnie na spółkowych polowaniach — przezorny kierownik polowania, każe przygotować patyki leszczynowe z otłuszczonemi kłakami i każdy myśliwy może swą broń przetrzeć — nie wszędzie to jest w zwyczaju.

Do czego zmierzam?

Przed wojną wyrabiano króciutkie naboje z Pufrilem, odpowiednie do kalibrów nabite doskonale otłuszczoną specjalną przybitką i zaopatrzone wyjątkową dobrą spłonką, nie wytwarzającą szkodliwych gazów i zanieczyszczeń.

Takiemi ładuneczkami przestrzeliwało się lufy, spuszczano zamki i broń mogła spokojnie czekać do dnia następnego, nawet dłużej.

Częstokroć, jedzie się z kniei wprost daleko na kolej, koleją do domu, a broń czeka. Tego rodzaju ładunki nabywałem przed wojną we firmie Szajler we Wiedniu na Rothenthurmstrasse. Niestety nie pamiętam czyjego wyrobu; dlatego też nie odnoszę się z tą powyższą uwagą wprost do naszych krajowych wytwórni ładunków. Może ktoś z fachowców ma ściślejsze informacje, a może jest też ujemnego zapatrywania na tą sprawę.

Jeżeli zaś wyrób takich ładunków byłby dodatni i praktyczny, możeby się tem zajęły nasze fabryki. — Rzucam myśl! — Wdzięczny byłbym za przedruk w „Łowcu Polskim".



Prawo Łowieckie

KAZIMIERZ WYSOCKI.

O obwodach łowieckich

Do spraw, dla gospodarki łowieckiej pierwszorzędnego znaczenia, zaliczam sprawy wielkości obwodów łowieckich, własnych.

Obecnie obowiązujące prawo łowieckie (Rozporządzenie Prezydenta Rzeczyp. Pol. z 3. XII. 1927, Dz. p. p. Nr. 110) nie robi żadnej różnicy między terenami łowieckiemi, gdzie główną zwierzyną jest niedźwiedź, jeleń, łoś, a terenami będącemi krainą sarny, zająca, kuropatwy.

100 hektarów przestrzeni, jako obwód łowiecki własny, nie daje, przy najlepszych chęciach właściciela, możności prowadzenia racjonalnej gospodarki łowieckiej, nawet tam, gdzie główną zwierzyną jest sarna, zając i kuropatwa. A cóż dopiero mówić o terenach górskich, gdzie 100 hektarów to zaledwie mała część jednego miotu. Sposób życia i potrzeby zwierzyny zamieszkującej góry i tereny, gdzie łoś przebywa, różnią się bardzo od potrzeb życiowych zwierzyny nizinnej. I tak, jak różnią się potrzeby życiowe niedźwiedzia, łosia i górskiego jelenia od życia sarny, zająca i kuropatwy, tak różnią się, o ile chodzi o łowiectwo, potrzeby i warunki gospodarki łowieckiej terenów górskich i terenów zamieszkania łosia, od terenów nizinnych.

Toż warunki gospodarki łowieckiej tych terenów tak bardzo się różnią, że ustanowienie obwodów łowieckich własnych, na tych dwóch tak bardzo różniących się terenach na zasadach jednej, wspólnej normy, jest wręcz niemożliwe. Z faktem tym liczy się zresztą i Rozp. Prezydenta Rzpol., i postanawia, że tylko posiadacz obwodu łowieckiego o minimalnej przestrzeni 1000 hektarów może polować na jelenie. Ale wobec takiego postanowienia prawa łowieckiego, posiadacz mniejszego jak 1000 hektarów obwodu łowieckiego ma jelenie hodować (art. 3) chronić je przed dwu i czteronożnemi drapieżnikami, dokarmiać je w czasie ciężkich zim, płacić za szkody przez nie wyrządzane (art. 55), ale polować mu na nie nie wolno — bo prawo polowania zastrzeżone jest dla sąsiada mającego przeszło 1000 hektarów obwodu łowieckiego (art. 46). Nadto stoi to postanowienie w sprzeczności z art. 4 tego samego prawa, stanowiącym, że polowanie związane jest z własnością gruntu i należy do właściciela gruntu a artykuł 1 tego prawa uznaje wyraźnie jelenia za zwierzynę łowną.

Czy nie słuszniej, nie logiczniej i nie bardziej po prawniczemu byłoby postanowić, że tereny łowieckie dzielą się na 1) tereny górskie i te gdzie łoś przebywa, jako też 2) na tereny nizinne i oznaczyć dla terenów pierwszych jako minimum obwodu łowieckiego własnego, nieprzerwaną przestrzeń 1000 hektarów, a dla terenów nizinnych przynajmniej 300 hektarów.

O tem mało się dotychczas pisało, a przecież sprawa wielkości obwodów łowieckich własnych, to dla gospodarki łowieckiej sprawa pierwszorzędna.

Takich postanowień w nowem prawie łowieckiem, musimy domagać się.

Tereny niezarejestrowane muszą zniknąć, a istnieć mogą tylko obwody łowieckie własne — i obwody łowieckie wspólne.

Obwody łowieckie własne, tworzą się na żądanie właściciela gruntów, o ile te grunta posiadają ustawowe warunki.

Wszystkie zaś inne grunty w odnośnej gminie, nie wyłączając i tych, które posiadają warunki do utworzenia obwodu łowieckiego własnego, ale których właściciel nie wniósł podania do Starostwa o uznanie ich za obwód łowiecki własny, mają być wcielone z urzędu do obwodu łowieckiego wspólnego.

Minister Rolnictwa orzeknie, które powiaty — względnie gminy, zaliczyć się ma do kategorji obwodów łowieckich górskich i terenów zamieszkania łosia — a które do kategorji terenów nizinnych.

* * *

Redakcja zastrzega sobie poczynienie pewnych uwag do powyższego artykułu w następnym numerze „Łowca".



Lis biały t. zw. Albinos ustrzelony przez Józefa barona Horocha w Gwoźdcu Starym jesienią 1932 r.

W. TOPORCZYK.

W sprawie ujednostajnienia kardynalnych zasad w umowach dzierżawnych na tereny łowieckie

Tereny łowieckie, jako objekty dzierżawne, przedstawiają określoną wartość materjalną jedynie na podstawie znajdującej się na nich zwierzyny. Wydzierżawiający tereny jakiejkolwiek kategorji w celach łowieckich, poszukują najbardziej odpowiednich dla swoich celów łowisk. Zdarza się jednak bardzo często, że preliminowany przez właściciela stan poszczególnych gatunków zwierzyny zawodzi, tranzakcja bowiem została zawarta z jednej strony z kompletną dobrą wiarą, powiedzmy nawet nazbyt lekkomyślnie, z drugiej zaś — niezbyt skrupulatnie podano właściwy zwierzostan, otwarcie mówiąc poprostu operowano statystyką „z powietrza". Dodać przytem należy, że zbadanie naoczne terenu przez przyszłego dzierżawcę w 95% wypadków nic nie mówi, przeważnie więc strona nabywająca prawo polowania ponosić musi ryzyko, chcąc bowiem otrzymać prawdziwe dane o znajdującym się na jakimś terenie zwierzostanie, należy lustracji poświęcić dużo drogiego czasu, albo znać go dokładnie z odbywanych na nim osobiście polowań.

Inną anomalją, zdarzającą się w wyniku wydzierżawiania terenów na łowiska, jest również, niestety, nierzadko występujący brak etyki łowieckiej u myśliwych, użytkujących dany teren, a nie prowadzących żadnej gospodarki, lub nawet hołdujących procederowi trzebieży.

Unormowanie tego wzajemnego stosunku kontrahentów łowiskowych wymaga w tym stanie rzeczy bezwarunkowego ujęcia umów dzierżawnych w odpowiednie rygory, jednakże wzór taki winien być opracowany z całą bezstronnością dla zabezpieczenia przedewszystkiem interesu, że się tak wyrażę, strony trzeciej t. j. zwierzyny. Następnie powinny być uwzględnione słuszne interesy handlowe i prawne obu kontrahentów. Myślę o opracowaniu czegoś jakby standartu kontraktu dzierżawnego terenów łowieckich. Wyobrażam sobie, że najodpowiedniejszymi czynnikami, mogącymi tę kwestję pożytecznie rozwiązać byłby referat łowiectwa i dyrekcyj lasów państwowych przy Min. Roln., jako właściciel najliczniejszych w kraju łowisk, podlegających wydzierżawianiu i Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

Biorąc pod uwagę te dwa zasadnicze punkty, a mianowicie, aby umówiony czynsz odpowiadał określonemu zgóry (w przybliżeniu) zwierzostanowi, oraz, aby użytkujący łowisko był zobowiązany do oddania po upływie czasu dzierżawy dane łowisko z ilostanem zwierzyny nie gorszym od początkowego (lub nawet lepszym, jeśli taki warunek byłby wymagany), nasuwają się liczne jeszcze punkty wzajemnego porozumienia, które, mojem zdaniem, winny być zawsze przyjmowane pod uwagę w umowie wzorowej.

Przedewszystkiem więc powinno być wyraźnie powiedziane, że użytkujący teren musi utrzymywać straż łowiecką i płacić tej straży strzałowe i premje w działach ochrony zwierzyny od drapieżników, jak również od wykrywania i ujmowania kłusowników i wnykarzy.

Następnie uważam, że koniecznem jest zagwarantowanie ze strony właściciela, iż w razie zawieszenia odstrzału jakiejś zwierzyny przez władze, użytkujący otrzyma pewną bonifikatę od sumy czynszu, bowiem istotnie wykorzystywanie przez niego wartości objektu łowieckiego w tym wypadku zostanie niezależnie od niego zmniejszone.

Sądzę również, że jednym z ważniejszych warunków wzorowej umowy dzierżawnej winno być zastrzeżenie, dotyczące sprawdzenia podawanego przez właściciela zwierzostanu i w razie rozbieżności ze stanem rzeczywistym, użytkującemu winna być udzielona stosowna bonifikata od czynszu, lub prawo wycofania się z umowy.

Nie wiem, czy moje myśli wyrażam właściwie, nie znajduję na to odpowiedzi ze strony prawnej, będąc laikiem w tej dziedzinie, wszelako mniemam, że intencje moje są jasne i wyraźne dla tych, którzy prawdopodobnie niejednokrotnie przemyśliwali nad uzdrowieniem znaczenia umów dzierżawnych na łowiska i ich wykonania, znajdując wiele niewłaściwości życiowych.

Wreszcie pozwalam sobie rzucić tu myśl, czyby nie było pożądanem, ażeby czynsz dzierżawny w pewnych wypadkach wyrażany był nie w gotówce, lecz w zgóry przewidzianym obowiązku zagospodarowania terenów łowieckich słabszych do pewnej granicy wytycznej, w innych razach aklimatyzowania jakiejś nowej dla danego łowiska zwierzyny, której wymaganiom naturalnym teren odpowiada. W takich razach tylko czas trwania umowy powinienby być dłuższy od lat sześciu.

Mam wrażenie, że zastosowanie takiej nowości stanowiłoby jedną z naturalnych dróg nietylko do podniesienia samego łowiectwa, lecz również i kultury łowieckiej wśród większych rzesz myśliwych.

Poruszając sprawę ujednostajnienia kardynalnych zasad w umowach dzierżawnych na tereny łowieckie, zda-

ję sobie sprawę, z pobieżności mego wystąpienia, to też niezmiernie ciekaw byłbym poglądu na to szerszego grona naszych czołowych myśliwych i z przyjemnością przywitałbym ich zdanie na łamach prasy fachowej, gdyby zechcieli moje wyżej wyrażone myśli poddać rzeczowej ocenie.

KORESPONDENCJE

Sprawozdanie z polowań odbytych w pow. Zbaraskim w sezonie jesiennym i zimowym 1932—33 r.

22. X. Lisieczyńce, wł. p. W. Konopacki. 6 strzelb 5 słonek, 9 zajęcy.

25. X. Roznoszyńce, wł. W. Małecki. Rewir Nowy Rogowiec. 6 strzelb 4 lisy, 5 słonek, 6 zajęcy, 1 sowa. Do zajęcy strzelano tylko w paru miotach.

26. X. Roznoszyńce-las. 6 strzelb 1 lis, 13 zajęcy.

Hołotki, wł. K. Kański. W sezonie uszczuto chartami 35 zajęcy (ze strzelbą nie poluje się).

Myśliwskie Tow. Zbaraskie na terenach dzierżawionych przez siebie, a to:

12. XI. Załuże las. 9 strzelb 14 zajęcy.

26. XI. Załuże-pole. 8 strzelb 13 zajęcy.

10. XII. Iwaszkowce. 9 strzelb 17 zajęcy, 2 lisy.

24. XII. Stary Zbaraż las i pola. 6 strzelb 20 zajęcy.

24. XII. Roznoszyńce-lasek. 8 strzelb 17 zajęcy. (Z powodu zupełnie czarnej stopy zające były w polu).

12. I. Roznoszyńce, rewir Nowy Rogowiec. 9 strzelb 52 zajęcy.

Berezowica Mała, wł. W. Konopacki, polowanie należy do p. zarządcy Keldersa. W sezonie łow. 1932—33 ubito zajęcy 25, lisów 15, szkodników: psów 5, jastrzębi gołęb. 5, innych 6, kotów 5, srok 30. W osobie p. Keldersa zwierzyna znalazła troskliwego hodowcę, to też stan jej na terenie Ber. M. jest stosunkowo bardzo dobry i napewno w przyszłości jeszcze się poprawi.

Klebanówka wł. T. hr. Tyszkiewicz w ciągu sezonu 3 lisy, 21 zajęcy, 2 żurawie, 54 kaczek, 9 słonek, 10 przepiórek.

14. I. Łubianki, wł. p. dr. Buber. Urządzał i prowadził polowanie p. naczelnik Sądu Zakrzewski. 11 strzelb 53 zajęcy, 3 lisy.

Stan zajęcy na terenie pow. na ogół słaby, jednakowoż lepszy niż w zeszłym roku. Nieliczne sarny mają swoją ostoję w dwóch większych kompleksach leśnych: zbaraskim i łubianeckim. Dziki tylko przechodnie, przeważnie jesienią. Ptactwo wodne i błotne, którego tu zawsze było dużo, obecnie pojawia się w coraz mniejszych ilościach. Przyczyna tego leży prawdopodobnie w osuszaniu błot i zaniku stawów. Również zauważyć się daje znacznie zmniejszony nalot przepiórek. Kuropatw bardzo mało — ostre i zawalne zimy stoją na przeszkodzie ich rozmnoży. Ujemnie wpływają na przyrost zwierzostanu, zwłaszcza zajęczego, duże przestrzenie pozbawione jakiejkolwiek naturalnej ochrony. Prócz tego tylko w nielicznych rewirach robi się cośkolwiek dla zwierzyny. Przeważna część terenów gminnych znajduje się w rękach niepowołanych, bardzo często kłusowniczych, co utrudnia, a w niektórych wypadkach wręcz uniemożliwia gospodarkę łow. w sąsiadujących rewirach.

Kłusownictwo i wnykarstwo znacznie tu rozszerzone, obecnie dzięki stosowaniu ostrzejszego wymiaru kar przez władze i energicznemu działaniu niektórych posterunków Policji P. nieco zmalało.

Władysław Małecki — Delegat pow. Zbaraż.

Roznoszyńce, pow. Zbaraż.

Odnośnie do artykułu p. Bohdana Kuczyńskiego, zamieszczonego w piątym numerze „Łowca", podającego opis niezwykłego okazu bronzowego gawrona, podaję do wiadomości, że taki sam okaz znajduje się w mem posiadaniu. Zewnętrzny jego wygląd zgadza się prawie zupełnie z opisem, jaki podaje Szanowny Korespondent, z tą może różnicą, że okaz znajdujący się u mnie jest bardziej jednolitego, jasno kawowego upierzenia z nielicznemi ciemniejszemi plamami. Jest to również egzemplarz młody. Zabity został na tutejszych polach, przez mego brata kilka lat temu w czasie polowania na przepiórki. Znajdował się pomiędzy innemi gawronami bijącemi na niego. Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie, posiada także okaz bronzowego gawrona, jednak o ile sobie przypominam jest on koloru dość ciemnego. Ciekawem byłoby porównanie tych niezwykłych ptaków.

K. Małecki.

Lwów, dnia 15 marca 1933.

Rok w rok przy kończącym się sezonie myśliwskim urządzają członkowie Tow. Myśliwskiego „Nemrod" koleżeńskie zebranie pod ustalonym tytułem „Sylwester - Myśliwski".

W imię tej tradycji odbył się w dniu 2 marca br. w sali hotelu George'a nasz sylwester — myśliwski, gdzie nasi druhowie, a gospodarze tegoż lokalu, dołożyli wszelkich starań, by ten nasz wieczór jak najwięcej uprzyjemnić, przy zupełnym komplecie członków i wielu mile widzianych sympatykach.

Po wspólnej kolacji, otworzył prezes debatę apelując do pp. członków by wymieniali wzajemne myśli, a nawet żale, co daje często wydziałowi dyrektywy dla wyciągnięcia wniosków i projektów do Walnego Zgromadzenia Towarzystwa. Po dłuższej ożywionej debacie, p. Starosta Ulm w dłuższej mowie zaznaczył, że dążenia Tow. „Nemrod" są zupełnie zgodne z poglądami M. T. Ł., którego poparcie jest nam zapewnione i to tembardziej, że droga do potęgi myśliwskiej leży w wspólnym kierunku.

W dniu 14 bm. meldował mi strażnik łow. z Postomyt, że przy obchodzie służbowym, w dniu 13. III. zauważył na polu, większą ilość wron, które kręcąc i krakając, między kopą gnoju się usadowiły. Dopiero po zabiciu jednej odleciały. Po zbliżeniu się, przedstawił mu się przykry widok. W kupie gnoju znajdowało się gniazdo młodych zajączków, jeden leżał około 5 metrów od gniazda zabity, z rozprutem brzuchem, 3 kroki dalej znów zając zabity, lecz nie rozdarty, jednak ciepły, trzeci zając był w gniazdku dość poturbowany, lecz żywy. Zająca tego przywiózł mi strażnik żywego, jako corpus delicti. Był to dosyć ładny rozwinięty zając i obficie karmiony. Liczył około 14 dni, miał kilka ran w głowie, prawe oko zupełnie wybite. Niema nadziei utrzymania go przy życiu. Fakt ten udowodnia, że tegoroczny łagodny styczeń spowodował wczesny rzut zajączków i strażnicy muszą więcej uważać na wrony i drapieżniki.

Jan Zecha — łowczy.

Siennów w marcu 1933.

Utarł się bardzo miły uzus, że niektórzy myśliwi, czy też delegaci, dzielą się wiadomościami ze stanu zwierzyny, ewentualnie z wyniku gremjalnych polowań, które umieszczone na łamach „Łowca" może pobudzą większą rzeszę braci myśliwskiej do liczniejszych sprawozdań. Osobiście, lubię czytać dział „Korespondencje", robiąc przy tem pewne porównania z ilością zwierzyny ubitej na pojedyńczych łowiskach ubiegłego i obecnego sezonu.

W powiecie przeworskim i jak zdołałem stwierdzić i gdzieindziej, stan zwierzyny słabszy o jakie 15—25%, kuropatw stan słaby, bażanty dzięki Ordynacji przeworskiej spotyka się coraz częściej, sarny mimo silnej opieki nie doszły do stanu przedwojennego, do czego przyczyniają się bardzo znacznie wykarczowanie lasków międzypolowych i zabudowania małorolnych wśród pól na partjach sparcelowanych. Coraz rzadsza atrakcja naszych knieі, a nawet jak niektórzy twierdzą, zwierzyna na wymarciu a więc dzik, w nielicznych lasach tut. powiatu bywa jednak, wychodząc na myśliwych stadami nawet po kilkanaście sztuk liczącemi. Dziki trzymają się jednego kompleksu lasów a to pp. Antoniego Łastowieckiego i Witolda Kellermanna i tylko dzięki bardzo solidnie pojętej hodowli, szczególnie przez pierwszego z zastosowaniem odpowiedniego odstrzału, karmienia w zimie i spokojowi, utrzymują się w tym kompleksie ilościowo dochodząc do ładnych rezultatów.

Toteż sezon polowań gremjalnych został otwarty dnia 5 X 1932, zastrzelonym odyńcem (w. 150 kg) przez p. Antoniego Łastowieckiego w Lipniku u. p. Adama Łastowieckiego.

13 XII u pp. Zygmuntów Łubkowskich w Pantalowicach doln., padło w 8 strzelb 54 zajęcy, w trzech małych kotłach.

19 XII u p. Witolda Kellermanna w Tarnawce w kniei, padło w 8 strzelb 2 dziki, 1 jarząbek, 7 lisów, 12 zajęcy. — Wspaniały i zadziwiający stan lisów niestety w większości parszywych, zmniej-

szył stan zajęcy, ale zależy od tego, co kto woli, osobiście wolę ten stosunek. Dziki dopisały mimo trudności w otropieniu, gdyż wyszły na dwuch „zagranicznych" myśliwych w rudlu z 12 sztuk, aby „matematykę" zrobić i po licznych strzałach została locha (około 120 kg w.) niestety prawdopodobnie matka stara, zaś druga sztuka, warchlak, padła z dalekiego strzału około 280 kroków, z ręki podpisanego, gdy stado przebiegało przez inną linję.

20 XII. u powyższego, na polach w Żuklinie i Niżatycach, padło w 10 strzelb 109 zejęcy.

22 XII u p. Adama Łastowieckiego w Lipniku w kniei, padło w 10 strzelb 4 lisy, 57 zajęcy.

30 XII. u p. Karoliny Przedrzymirskiej w Pantalowicach gór., w 10 strzelb, padło 53 zajęcy na terenie stosunkowo niewielkim.

5 I. 1933 u p. Antoniego Łastowieckiego w Hadlach padło w 14 strzelb 1 dzik (odyniec w. 180 kg z ręki dra Waler. Zakliki), 1 jarząbek, 2 lisy, 51 zajęcy. W dwóch miotach były dziki, w pierwszym cofnęły się na nagonkę. Jak zawsze najmilsze polowanie, gdyż oprócz gościnności miło jest odczuwać w kniei czy też na polach, że wszystko jest obmyślane, połączone z organizacją, zamiłowaniem myśliwskiem i pedanterją. Tu polowaliśmy na lisy wyłączając dziki wedle życzenia gospodarza, w 5 strzelb w dniu 4 lutego z rezultatem 3 lisów, a prócz tego widzianych i strzelanych 10 lisów.

7 I. u podpisanego w Siennowie, polowaliśmy w 12 strzelb, gdzie padło 97 zajęcy, opolowując część terenu.

Ostatnich dni października ub. r. w drodze do robotników przy sągach, pies legawy stanął wyprężony w olszynce 5-letniej. Nim zdążyłem bliżej podejść do psa, zaelektryzowany jamnik skoczył w kierunku wskazywanym przez psa legawego. Z charakterystycznym burkotem wyleciał jarząbek i zapadł o kilkadziesiąt kroków wyżej. Poszedłem do sągów, gdzie był mój szwagier ze strzelbą i postanowiliśmy pójść drugi raz z psem i zapolować na ptaka, którego mogę nazwać niebywałym gościem w małym lasku za parkiem, zdala od większych i górzystych kompleksów. Z jarząbkiem wróciliśmy do domu, a w chwilę potem znowu obaj uzbrojeni, ruszyliśmy do t. zw. gaju, aby przypadkowo natknąć się na samicę palumbariusa obok miejsca, gdzie pierwszy raz zerwał się jarząbek. Palumbariusowa przepłaciła życiem swoją zachłanność, gdyż prawdopodobnie jarząbek był celem jej krwiożerczych instynktów.

Nie posiadam bliższych danych z innych terenów, dlatego pozwolę sobie zapodać odstrzał zwierzyny łownej i drapieżników ubitych w ub. r. na moim terenie myśliwskim. Rogaczy 2, lisów 2, zajęcy 118, jarząbek 1, bażantów 8, kuropatw 164, przepiórek 39, drapieżnych 8, psów 9, kotów 11, srok 23, wron 16.

11 I. 1932, polowaliśmy w Husowie (?) w kniei u p. Andrzeja Oborskiego, w 12 strzelb, padło: 1 jarząbek, 23 zające, przy wielkim śniegu..

14 I. w Łopuszce małej u p. Kazimierza Pogonowskiego w 9 strzelb, padło 104 zajęcy. Stan zajęcy jak na wielkość terenu i ten rok, bardzo dobry, a że dużo uszło z życiem, więc rokuje ten teren na przyszłość dobry rezultat.

W tutejszych stronach znać kryzys pod każdym względem, a z całą pewnością i zwierzyna to odczuwa przez zmniejszoną opiekę. — Stan zajęcy słabszy niż w inne lata, wyjątkowo niektóre łowiska wykazywały małe różnice, których nie można brać pod uwagę. Za to w lasach silnie rozmnożyły się lisy, a nawet na polach, często się je widuje, niestety dużo parszywych. — Sarny, jak już wspomniałem, nie doszły do przedwojennego stanu, poprawiła się jednak jakość poroży, mimo, że w kilku łowiskach daje się zauważyć nieproporcjonalny stosunek t. j. rogaczy ilościowo więcej niż kóz. Należy ubolewać nad wydanem rozporządzeniem w sprawie dowolnego odstrzału kóz. — Przypuszczam, że rozporządzenie to zostało wydane na skutek licznych podań o dozwolenie odstrzału sarn. Szablonowe załatwienie tej sprawy wpłynie z całą pewnością ujemnie na stan sarn, gdyż w łowiskach, opanowanych przez niepowołane czynniki, a jeszcze gdy ci sąsiadują bezpośrednio z lasami, sarna stoi przed zagładą. Skoro mojem zdaniem Województwa nie mogły czy też nie chciały dać sobie radę z napływem podań o odstrzał kóz, to kompetencja powinna była przejść na Starostwa.

Wreszcie od czegóż są delegaci rozsiani po powiatach, czy tylko od tytułu, a jednak ci mogliby być dobrze wykorzystani choćby w ustawowo określonem opinjowaniu w tak ważnych sprawach, jak wydawanie kart myśliwskich, czy też na broń myśliwską, jak pewna kontrola w wydzierżawianiu terenów wspólnych, pozwoleniach odstrzału po za ramy ustawy i co bardzo ważne, na opinjowaniu o zupełnem zamknięciu niektórych łowisk wyniszczonych. Wszędzie wymaga się pewnej fachowości, zaś myślistwo, hodowla zwierzyny i regulowanie jej i t. d., bardzo często uważane jest jako zabawa, przeżytek dawnych panów i przyjemność dawnych czasów, a nie jako gałęź kultury i gospodarstwa narodowego.

Gdy dzik, ten nigdy niechroniony, łagodny zwierz, doczekał się wreszcie uznania przez ustanowienie bardzo racjonalnego czasu ochronnego, to dział sarni i jeleni cofnął się w tył. Jednak „niech żywi nie tracą nadziei", bo może i w tym wypadku przyjdzie jakaś ustawowa rekompenzata.

Zdzisław Wolski
delegat.

Stanisławów, w kwietniu.

Jak wykazuje podana w poprzednim numerze „Łowca" statystyka tegorocznych polowań Towarzystwa Myśliwych w Stanisławowie, zwierzostan na terenach dzierżawionych przez Towarzystwo i wogóle w powiecie stanisławowskim znacznie się poprawił i zaczęły się już powoli realizować plany i zamierzenia myśliwych, które od szeregu lat powojennych pochłonęły wiele trudów i kosztów, a często nawet wywoływały przykre nieporozumienia z rywalizującymi o dzierżawę terenów takimi jednostkami, które nie miały ani zamiaru, ani możności podtrzymania na tych terenach racjonalnej gospodarki, — lecz powodowane były bądźto fałszywą osobistą ambicją, bądź chęcią zysku i innemi niegodnemi etyki myśliwskiej celami.

Zdawałoby się, że zapowiedziana nowelizacja prawa łowieckiego z roku 1927, o ile uwzględniłaby istotne potrzeby i warunki Małopolski wsch., położył wreszcie kres niedomaganiom i brakom, które utrudniały dotychczas rozwój tego odłamu kultury krajowej; ale wobec nieaktualności dotychczas tej nowelizacji i wątpliwości, czy nowelizacja ta zechce wziąć pod racjonalną uwagę nasze potrzeby, uważamy, że skazani jesteśmy na dalsze borykanie się z przeciwnościami, uniemożliwiającemi gospodarkę i jej kombinacje hodowlane.

Ostatnie rozporządzenie Ministerstwa Rolnictwa z 9. XI. 1932 r. zezwalające na odstrzał łań i kóz przez każdego, czyto właściciela, czy dzierżawcę polowania, bez względu na jego kwalifikacje myśliwskie, zniweczyło już w swojem pierwszem istnieniu wszelkie plany, a kto wie czy nie dorobek całego szeregu zrzeszeń i jednostek myśliwych. Nie należy bowiem zapominać, że łowiska nasze spoczywają dotychczas jeszcze w swej przeważającej części w rękach niepowołanych ludzi, ludzi bez żadnej etyki, polujących dla mięsa i zysku, niestety pod ochroną ustawy i bez żadnych rygorów, jakie mogłyby być stosowane względem takich strzelaczy, gdyby starostwo kwalifikowało kandydatów na dzierżawców prawa polowania; ingerencja bowiem władzy administracyjnej ogranicza się tylko do zatwierdzania obwodów i prawomocności wyborów spółek łowieckich.

Ten moment przesądza dalszą możliwość hodowli sarn a nawet zwierzyny wogóle i nasuwa horoskopy wprost katastrofalne. — Są bowiem strzelacze, w charakterze dzierżawców polowań gminnych, którzy po wybiciu sarn na swoich terenach puszczają tresowane specjalnie psy w teren leśny sąsiada hodowcy, czają się na granicy i strzelają zupełnie swobodnie zwierzynę, przed psami uchodzącą. Według pobieżnego obliczenia, sarn takich „wyciśniętych" z lasów uhrynowskich padło tej zimy najmniej 6—8 sztuk, gdzie właściciel dla rozmnoży od czasu wojny sam nie poluje i dochował się już wcale pokaźnej ich liczby. Jakkolwiek sprawa oddana jest starostwu, to kłusownik odpowie za to w myśl artykułu 76 pkt. 6 ustawy łowieckiej najwyżej za nieprawne polowanie z psami na obszarze poniżej 2.000 ha i ukarany będzie w najlepszym wypadku grzywną niezbyt dotkliwą w stosunku do przewinienia, które nazwać można zbrodnią.

Trudno przecież udowodnić kradzież zwierzyny, skoro faktycznie strzeli ją kłusownik na terenie przez siebie dzierżawionym, jakkolwiek zaledwie parę kroków od granicy sąsiada.

Widzieliśmy też w Stanisławowie sarny ubite przez innych wpraw-

dzie, ale podobnych strzelców, którzy do żadnego zrzeszenia łowieckiego nie należą, terenów swoich nie posiadają, ale polowali na zaproszonych polowaniach z racji jakichś tam względów towarzyskich czy innych...

Są to fakty, które dają najlepszy obraz wyglądu naszych łowisk za parę lat. Okres między 15-tym stycznia a 15-tym lutego jest zwykle okresem najsroższej zimy, kiedy wygłodzone zwierzęta do rąk prawie podchodzą przy rozwożeniu karmy, jak to mieliśmy sposobność sprawdzić w czasie krótkich ale dotkliwych tegorocznych mrozów i zawiei. Czyż godzi się strzelać je w takich warunkach? Czy zdobędzie się na taki wyczyn myśliwy, który na to miano prawdziwe zasługuje? Pocieszającym wprawdzie jest objaw, że żaden z myśliwych poważnych ani też żadne towarzystwo myśliwskie z „przywileju" tego nie korzystało, z drugiej znów strony o ile zezwolenie na zimowy odstrzał sarn nie zostanie cofnięte, nie pomogą największe wysiłki jednostek, którym ta sprawa leży na sercu, a bezkrytyczne ogólne wybijanie sarn w zimie doprowadzi wkrótce do zupełnego ich zaniku.

Wspomnijmy na dawne ustawodawstwo łowieckie, według którego o odstrzał nadliczbowych dla rozmnoży starych lubieżnic lub wycielonych sarn trzeba było starać się przez władze administracyjne i dopiero po należytem uzasadnieniu prośba taka była uwzględnioną, przy ostrych ograniczeniach ilości, przeznaczonych do odstrzału sztuk.

Wszystko to odnosiło się tylko do terenów znanych ze swej racjonalnej gospodarki łowieckiej, a odstrzał odbywał się w odpowiedniej ku temu porze roku, kiedy myśliwy mógł orjentować się co do wartości rozpłodowej swoich sarn i pewnie nie strzelał do każdej nadchodzącej pod lufę.

Czy przed wydaniem wspomnianego dodatkowego rozporządzenia był wysłuchany przynajmniej jeden z naszych delegatów? A są między nimi bardzo poważne jednostki, prawdziwi myśliwi i zamiłowani hodowcy dbający o rozwój łowiectwa nie dla celów własnych, ale dla dobra i chluby Państwa.

Może obecna obfita na ten temat, jakoteż na temat innych zasadniczych niewłaściwości w ustawie łowieckiej korespondencja naszych Nestorów łowiectwa znajdzie odgłos i uznanie słuszności przy spodziewanej nowelizacji prawa łowieckiego.

K. Piórkowski — delegat.

Gródek Jagielloński, w kwietniu.

Sprawozdanie delegata.

Sezon miniony nie był pomyślny dla zajęcy z powodu późnej wiosny a dla ptactwa wodnego i błotnego jakoteż kuropatw — z niewiadomej przyczyny, gdyż tych ostatnich widziało się w zimie na śniegu dużo a w jesieni było ich natomiast mało.

Na ogół jednak stan zwierzyny nie uległ większej zmianie niż w latach ostatnich a dzięki racjonalnej gospodarce i kosztom łożonym na hodowlę zwierzyny (w Janowie, Lubieniu i Wiszence) jest nadzieja, że w tych obszarach rezultaty dadzą zasłużone owoce. Niektóre knieje natomiast, o zwartym wysokopiennym niepodszytym drzewostanie i o zimnej glebie, świecą nadal pustkami — nie dając zwierzynie warunków należytego odżywiania się i zacisznego schronienia.

Kultura i etyka łowiecka są dość rozpowszechnione i gdyby nie złe sąsiedztwa, pozostające w rękach samopas polujących kmiotków, jakoteż kłusownictwo i wnykarstwo trudno wytępić się dające, nie byłby ten powiat jednym z gorszych a posiadając różnorodność zwierzyny i ptactwa łownego, wyróżniałby się nawet od innych.

W niektórych majątkach polowań tego sezonu nie urządzano. Sarn o ile mi wiadomo nie strzelano a te które poniżej wykazałem pochodzą z odstrzału chorych lub przez kłusowników.

Klęską nie sporadyczną lecz trwałą i chroniczną są psy. Mimo częstych nakazów władz trzymania psów na uwięzi z powodu szerzenia się wścieklizny, roją się od nich pola i łąki od wiosny do późnej jesieni. Psa — choćby notorycznego szkodnika, na drodze lub przy furze zabić nie można — ale temu samemu psu przy bydle lub pługu zająca złapać wolno — nikt go za to z pewnością nie ukarze lecz jeszcze pochwali. Prowiantuje on bowiem znakomicie swoich właścicieli, co zwłaszcza pożądane jest na przednowku. Twierdzę stanowczo, że żadne klęski elementarne nie niszczą u nas tyle zwierzyny co psy i po części młodzież pasąca bydło. I tę kwestję należałoby przy nowelizacji ustawy łowieckiej poruszyć.

Według przypuszczalnych obliczeń — gdyż nie wszyscy sprawozdania nadesłali, — ubito w ubiegłym sezonie następującą ilość zwierzyny: dzików 25, kozłów 85, kóz 3, zajęcy 970, lisów 80, kun i tchórzy[1]) 16, borsuków 9, psów i kotów 275, ptactwa wodnego 350, ptactwa błotnego 180, kuropatw 85, słonek 65, przepiórek, chruścieli i dzikich gołębi 70, ptactwa drapieżn. i szkodników 420. Policja Państwowa odebrała 4 strzelby, 18 karabinów, wytropiła 6-ciu kłusowników — zniszczyła 23 wnyków doraźnych na zające.

Dr. H. Malsburg — delegat.



Sprawy Towarzystwa

Z ODDZIAŁU MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO W KRAKOWIE.

Zapraszamy niniejszem Członków Krakowskiego Oddziału M. T. Ł. na

DOROCZNE OGÓLNE ZEBRANIE,

które odbędzie się

w niedzielę, dnia 21 maja br. o godz. 10 przedpoł.

w Krakowie, w sali Towarzystwa Strzeleckiego, ul. Lubicz 16.

PORZĄDEK DZIENNY ZEBRANIA:

1. Zagajenie. — 2. Odczytanie protokołu z poprzedniego Ogólnego Zebrania. — 3. Sprawozdanie z czynności i zamknięcia rachunków za r. 1932. — 4. Sprawozdanie Komisji rewizyjnej oraz wniosek o udzielenie Wydziałowi absolutorjum. — 5. Wybory uzupełniające 2 członków Wydziału. — 6. Wolne wnioski.

Kraków, dnia 22 kwietnia 1933 r.

Za Wydział Oddziału M. T. Ł. w Krakowie

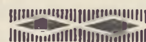
Sekretarz **Stan. Morawetz** — Prezes **Adam Starzeński**

—o—

W dniu 22 kwietnia br. odbyło się posiedzenie Wydziału Oddziału, na którem ustalono termin dla powyższego Ogólnego Zebrania, nadto zaopinjowano kilka spraw łowieckich dla Województwa oraz załatwiono ważniejsze sprawy bieżące.

Przy sposobności przypominamy Członkom opłatę zaległych i bieżących wkładek na konto P. K. O. Nr. 405.265.

Z Wydziału M. T. Ł. w Krakowie.



Z WYDAWNICTW

„Echa Leśne" — czasopismo ilustrowane dla wszystkich, Warszawa. Ukazał się zeszyt lutowy tego czasopisma, popularyzującego wśród szerokich mas społeczeństwa jeden z najpiękniejszych tworów natury — las. Mimo fachowo napozór brzmiącego tytułu czasopisma, jest ono w rzeczywistości, dostępne dla każdego czytelnika, który wśród bogato urozmaiconej treści znajdzie w niem i zajmujący feljeton i wiele aktualności i zdrowy humor i ładną nowelę. Przytem wszystkiem, czytając czy nawet przeglądając zeszyt wypełniony pięknemi ilustracjami puszcz i borów lub widokami gór, morza i innych objektów pięknej przyrody, obok licznych zdjęć z aktualnych wydarzeń w Polsce i zagranicą — czytelnik odrywa się od szarzyzny codziennego życia, zbliża się mimowoli do lasu, do natury, i zaznaje wypoczynku.

Poza obcowaniem z przyrodą, lektura Ech Leśnych przekonywuje nas, że lasy nasze, — to nietylko niewyczerpane źródło piękna i poezji, lecz i skarbnica wszelkich dobrodziejstw dla człowieka i całego narodu, i że stąd lasy zasługują na bliższe ich poznanie — na odpowiednią ochronę i szacunek. — Dlatego też „Echa Leśne"

[1]) Nie licząc złapanych przez chłopów.

chętnie winne być widziane w domu każdego obywatela kraju, zwłaszcza, że czyta się je z prawdziwą przyjemnością i zainteresowaniem.

Zeszyt lutowy, prócz artykułów o zawodzie leśnika i Puszczy Białowieskiej, zawiera między innemi zajmujący opis polowania p. Prezydenta na niedźwiedzia, interesujący feljeton o Wilnie, recenzje teatralne, bibljografję, „coś dla pań" z ankietą na temat nowego typu mężczyzny, działy: z miesiąca, z przyrody i techniki, rozrywki umysłowe, humor i nowele pióra W. Bunikiewicza.

Janusz Domaniewski — Sprawozdanie z działalności Stacji Badania Wędrówek Ptaków. Acta Ornithologica. I. 1. Warszawa 1933.

Sprawozdanie obejmuje pierwszy rok działalności naszej stacji badania wędrówek ptaków, założonej w r. 1931 za inicjatywą prof. dra M. Siedleckiego, a pozostającej pod kierownictwem sprawozdawcy, rok początkowej niejako próbnej działalności. Mimo to, oraz fakt, że nasze społeczeństwo interesujące się tą kwestją, nie było jeszcze dostatecznie poinformowane, pierwsze te w Polsce badania przy małej ilości współpracowników objęły 1029 ptaków zaobrączkowanych przez 12 współpracowników Stacji. W szczególności zaobrączowano ptaki należące do 40 gatunków, z czego najwięcej zaobrączkowano szpaków (325), jaskółek (250), gawronów (153) i bocianów (89). Jak na tę stosunkowo niewielką ilość zaobrączokawanych ptaków w tym pierwszym roku, otrzymano wiadomości o sześciu ptakach; zwykle bowiem zaledwie o 1—2% ptaków odbiera stacja wiadomości. Poza kilku egzemplarzami zabitemi w niedalekiej odległości od miejsca zaobrączkowania lub ptakami osiadłemi, wymienić należy niektóre dosyć ciekawe dane co do obranych przez ptaki dróg przelotu: i tak jaskółka oknówka zaobrączkowana w powiecie Siedleckim w czerwcu 1931 została zabita we wrześniu nad Dunajem w Bułgarji, myszołów zaobrączkowany w okolicach Rydzyny (Wielkopolska) w czerwcu, znalazł się we wrześniu na Pomorzu niemieckiem, podobną drogę wykazał jeden ze szpaków zaopatrzony w obrączkę w Wielkopolsce. Rzecz oczywista, że tych kilka danych niema jeszcze bezpośredniego znaczenia, jest jednak dowodem, jak i dla amatora jest interesującem stać się współpracownikiem Stacji i móc osiągnąć niewątpliwie dla nauki interesujące wyniki.

Osobny dział stanowią wiadomości o ptakach zaobrączkowanych przez inne zagraniczne stacje a zabitych w Polsce. Słusznie podkreśla tu kierownictwo Stacji, że skutkiem nieświadomości szerszego społeczeństwa, łowieckiego, obrączki zamiast wprost do naszej Stacji (Warszawa, Krakowskie Przedmieście 26-28) były po większej części skierowywane do stacyj zagranicznych, skutkiem czego docierały one do niej dopiero drogą okrężną. W przyszłości należałoby bezwzględnie skierowywać zaobrączkowane zabite okazy na terenie Polski, bezpośrednio do naszej Stacji.

Trudno w krótkiem tem sprawozdaniu dokładnie omówić tę stosunkowo dużą ilość zaobrączkowanych ptaków, jakie zostały na naszym terenie zabite. Najwięcej było czapel (56) oraz bocianów (7), pozatem były to szpaki, jaskółki, jemiołuszki, mewy, z drapieżnych postułki i inne; zaobrączkowania dokonało 8 stacyj badania wędrówek ptaków, Niemiec, Litwy, Łotwy, Danji, Finlandji, Rosji i Węgier. Już same nazwy stacyj wskazują, jak wiele dróg obieranych corocznie na przelotach przez ptaki krzyżuje się przechodząc przez Polskę, stanowiącą do powstania Stacji w Warszawie, prawdziwą terra incognita dla ornitologów, a długie lata jeszcze wdzięczne pole do naukowej pracy. Niewątpliwie wobec tych, wprawdzie jeszcze skromnych, ale niemniej ciekawych wyników, szerszy ogół naszych myśliwych życzliwie się do nich ustosunkuje, przesyłając uzyskane materjały wprost do naszej centrali, bądź też biorąc udział w prowadzonej dalej akcji obrączkowania.

Doc. Dr. K. Wodzicki.

—o—

WESOŁY KĄCIK.

Szkoła żeńska. Kraków. Godzina historji naturalnej. Dziewczynki bardzo ją lubią. Pani nauczycielka wchodzi, niosąc coś nowego: wypchanego lisa. Wszystkie roześmiane oczy w jednej chwili poważnieją, aż okrągłe z podziwu, wpatrzone w nieznane piękne zwierzę. Cisza jak makiem siał, cała klasa wsłuchana w barwne opowiadanie o tym przemyślnym zbrodniarzu. Potem lisa wynoszą a pani poleca uczenicom opisać króciutko, czego się o lisie dowiedziały. Z zapałem pochylają nad zeszytami swe ciemne, swe jasne główki i piszą i piszą a śpieszą się — tylko dziesięć minut mają na to czasu. Oto rozkoszny urywek. Słuchajcie co jedno takie złotowłose dziewczątko, mozoląc się, wypisało:

„Lis jest chytry a pod spodem biały. Samica jego jest bardzo złośliwa, albowiem miewa kilkoro młodych co roku. Samiec ściga gęsi, przyczem ma czarny koniec ogona."...

A. St.

—o—

KALENDARZYK MYŚLIWSKI

W maju wolno polować na cietrzewie-koguty, bataljony i dzikie kaczory przez cały miesiąc; na głuszce koguty, dzikie gęsi i słonki do 15-tego, tudzież na sarny - kozły od 16-tego.

Obowiązuje też w tym miesiącu między innemi czas ochrony dla niedźwiedzi, dzików, zbików, kun leśnych (tumaków) norek wprowadzony rozporządzeniami Ministerstwa Rolnictwa.

—o—

W dalszym ciągu ogłaszamy nazwiska restantów podając sumę ich zaległości po koniec roku 1932.

Wartanowicz Mieczysław zł. 76,50, Wayda Alojzy zł. 96, Wiland Włodzimierz zł. 72, Wołoszynowski Bolesław zł. 81, Woszczatyński - Obuch Władysław zł. 171, Wyhowski Stanisław zł. 81, Wyszkowski Stanisław zł. 171, Zając Józef zł. 90, Zalesiński Felicjan zł. 108, Zalesiński Marjan zł. 108, Zarząd Ordynacji Poturzyca zł. 72, Zawidowski Jerzy zł. 72, Zbyszewski Józef zł. 108, Zeńczak Hieronim (delegat) zł. 54, Zerygiewicz inż. Grzegorz zł. 167, Zimermann Franciszek zł. 87, Złowódzki Seweryn zł. 117, Ziołecki Walenty zł. 111, Zwoliński Stanisław (delegat) zł. 45.

TREŚĆ NUMERU 9 i 10:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., 1/2 str. 60 zł 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5 drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek — Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32